



ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI

Warszawa, dnia 27 lutego 1949 r.

Nr 9 (222)

BOLESŁAW WOYTOWICZ

Droga wskazana przez Fryderyka Chopina

SPOTKAŁ mnie wielki zaszczyt przemawiania wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z okazji setnej rocznicy śmierci Fryderyka Chopina, artysty, który — jak pisał Cyprian Norwid — tworzył „zaspiew na narodową sztukę”.

Fryderyk Chopin żył i działał w epoce, której dynamikę określiły dwie rewolucje: Wielka Rewolucja Francuska i Rewolucja Wiosny Ludów, w epoce wkraczania na arenę historii ludu jako nowej siły kształtującej oblicze dziejów. I chociaż Chopin nie mógł wówczas ocenić roli politycznej tej nowej dzwignicy historii, geniuszem swoim wyczuł istotę każdej wielkiej sztuki wyrastającej z głębokiego nurtu ludowej twórczości, aby z kolei, już jako własną wizję artysty, móc ją udostępnić najszerszym rzeszom własnego narodu.

rozkwit, rodząc nowe style godne swojej epoki. Twórczość Chopina w muzyce polskiej jest tego najdoskonalszym przykładem.

Przyznać niestety musimy, my kompozytorzy XX wieku, że twórczość okresu międzywojennego, zarówno w muzyce światowej, jak i polskiej była często wyrazem jałowych poszukiwań i eksperymentów obliczonych na szczuple gro no elity muzycznej, a tym samym tak daleka od tego, co dziś dla nas symbolizuje dziedzictwo Chopina. Zjawisko to występuje w naszej sztuce tym ostrzej, że stoimy w rozwoju naszej kultury muzycznej na zasadniczym zakrepcie: cała kultura polska, a więc i muzyka polska stała się własnością całego narodu. Klasy pracujące stały się jej konsumentem i współtwórcą. Tym samym nasza twórczość winna się odbić szerokim echem

To podwójne zadanie — udostępnienia wartości artystycznych i dalszego ich pomnażania — ciąży i na nas. Z dzieła i świadomości, z jaką Chopin to dzieło tworzył, czerpać musimy nieustannie, żeby stać się choć w części godnymi jego wielkości.

Główną przyczynę tego niezwykłego zjawiska, jakim jest twórczość Fryderyka Chopina, stanowi więc nawiązanie przez niego do motywów kultury ludowej, zwłaszcza w polskiej pieśni ludowej.

Niewątpliwie w muzyce Chopina jest wiele różnorodnych elementów światowej kultury muzycznej jego epoki; są tam i ślady klasyków wiedeńskich, na których się wychowywał; są i wpływy włoskiej opery, którą tak lubił; są i wpływy środowiska muzycznego Paryża, w którym spędził całą drugą połowę swego życia. Są przede wszystkim elementy romantyzmu, typowe dla pokolenia i epoki Chopina, nie mówiąc już o niczym niezatartych wpływach środowiska warszawskiego, w którym się wychował, gdzie formował swoją muzyczną i ogólną ideologię, swój światopogląd, i skąd czerpał impulsy emocjonalne. Ale to wszystko — przetopione genialną psychiką w jednolity stop nie miałyby tej siły wyrazu, tej swoistości, tego jedynego, co różniło Chopina od wszystkich innych romantyków, gdyby nie pierwiastek ludowy, polski, przepajający wszystkie jego dzieła.

I przed Chopinem było wielu kompozytorów polskich, którzy już wykorzystywali „wielką muzykę” polską w swych dziełach. Czynili to Kamiński, Stefani, Elsner w swych operach, Ogiński w swych polonezach.

Ale Chopin czynił to inaczej, głębiej, wszechstronnie. On to w oparciu o ludowe tło stwarzał muzykę o wyjątkowo własnym, nowym, ogólnoludzkim.

W pokorze, którą życie i wypowiedzi Chopina znamionują, znajdujemy naukę, wielką naukę tej służby, jaką ma być życie i dzieło artysty. Ta skromność Chopina wobec własnego przeżycia uczy nas, że wszystkie wysiłki artysty, to tylko służba dla tych, którzy mają to piękno wchłaniać. Doskonałość artystyczna jest ideałem, któremu winien służyć twórca w taki sposób, by jego język artystyczny zakomunikował najszerszym masom odbiorców przeżycia i wzruszenia, tkwiące potencjalnie w tych masach, a także, by ich świadomość artystyczną kształtował i rozwijał.

Gdy artysta dojdzie do takiego ujęcia i opanowania własnej sztuki i własnego języka, gdy stanie się instrumentem wyrażającym najsłabsze dążenia, nadzieje, troski, radości i problemy swej epoki, gdy potrafi je ująć i zamknąć w dziełach najprostych, w formie najbardziej jasnej i przystępnej — wówczas dopiero możemy mówić o jego wielkości, a wtedy spada na nas obowiązek udostępnienia jego dzieł najszerszemu ogółowi.

W głębokim rozumieniu tej więzi między artystą a odbiorcą Chopin przejmował z twórczości ludowej nie tylko pierwiastki rytmów mazurkowych czy polonezów. Ludowe wzory rytmiczno-metryczne stawały się podstawą rytmiki wszystkich jego dzieł. Wydobywał z nich nowe prawa, które przeniósł na grunt muzyki artystycznej, rozwinął, przekształcił, stwarzał na nowo. W buceznictwie baseli wiedeńskich, w piskliwych współbrzmieniach wsiołowych kapel ludowych odnalazł takie efekty harmoniczne, które pozwoliły mu stać się nowatorem języka harmonicznego na długie dziesięciolecia.

Wszystkie właściwości indywidualnego stylu kompozytorskiego Chopina rozkwitają na tym właśnie podłożu i dlatego — nawet dla obco krajowców — Chopin jest tak jednolicie i jednoznacznie polskim kompozytorem.

My, muzycy polscy, zdajemy sobie sprawę, że obchód setnej rocznicy śmierci Chopina w Polsce Ludowej ma szczególne znaczenie; kładzie na nas obowiązek zwrócenia ludowi polskiemu tego, co Chopin od niego otrzymał. Zwrócenia w formie zwielokrotnionej i wzbo-gaconej. Bo Chopin był wielki nie tylko dlatego, że był genialny. Był wielki dlatego, że wiedziony swym instynktem twórczym oparł swoją twórczość na tym, co jest w każdej kulturze najtrwalsze, najbardziej dynamiczne, najbardziej wybiegające naprzód.

Tym bardziej więc ciąży dziś na nas obowiązek być godnymi wielkiej drogi artystycznej Chopina, a tym samym być godnymi jednej z najtrudniejszych i największych epok: epoki przełomu, epoki rodzącego się socjalizmu.

Jakże często cytuje się dziś powiedzenie Cypriana Norwida o Chopinie, że „Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak na przykład polityk narodowy organizuje siły stanu”. Wyczuł to wielki romantyk niemiecki Robert Schumann, gdy twierdził, że muzyka Chopina to „armaty ukryte wśród róż”.

My dziś pragniemy te „armaty wśród róż” zmobilizować, odkryć piękno dzieła Chopina przed całym narodem polskim, udostępnić puściznę Chopina tym masom, które są nie tylko bezpośrednim odbiorcą, lecz i bezpośrednim twórcą nowej kultury.

Dlatego też setna rocznica śmierci Chopina obchodzona będzie w Polsce szczególnie uroczystie.

Jeszcze w czerwcu ubiegłego roku powołany został do życia uchwałą Rady Ministrów Komitet Honorowy Roku Chopinowskiego pod przewodnictwem Prezesa Rady Ministrów, nadto zaś Komitet Wykonawczy z Ministrem Kultury i Sztuki na czele. Protektorat nad całością obchodu objął Prezydent Rzeczypospolitej Ob. Bolesław Bierut.

W ramach obchodów chopinowskich przewidziana jest wielka ilość imprez artystycznych, których celem będzie spopularyzowanie puścizny Chopina w całym narodzie, w szczególności w masach pracujących kraju. Do tych imprez należy „Żywe wydanie dzieł Chopina” tj. cykl koncertów obejmujących wszystkie jego dzieła od najpierwszych, dziecięcych utworów, aż do mazurków kreślonych już martwiącą ręką umierającego mistrza. Każde z większych miast Polski organizuje festiwal chopinowski u siebie. W Warszawie odbędzie się szereg imprez na skalę międzynarodową — między innymi międzynarodowy konkurs chopinowski, nawiązujący do tradycji konkursów przedwojennych. Organizowane będą wystawy chopinowskie, zarówno centralne, jak mniejsze w świetlicach, klubach, szkołach. Przewidziane są setki koncertów szkolnych, świetlicowych dla świata pracy. Już w druku jest pełne wydanie Dzieł Chopina. W druku jest również szereg monografii, popularne broszury, artykuły itp.

To szerokie spopularyzowanie twórczości muzycznej Chopina będzie najtrwalszym dorobkiem Roku Chopinowskiego, a zarazem najszlachetniejszym hołdem narodu polskiego i polskiego świata muzycznego, złożonym jego pamięci.

Siew muzyki chopinowskiej, która po raz pierwszy dotrze do szerokich mas ludowych wszędzie niewątpliwie i dojrzej obfitym plonem.

Nieprzebrane jest bogactwo i piękno polskiej muzyki ludowej, nieprzebrane bogactwo talentów w masach ludowych. Nie damy im dalej drzeć, zbudzimy je do czynu, do współtworzenia kultury muzycznej Polski przyszłości.

Muzyka polska pójdzie drogą rozwoju, wskazaną jej przez genialną twórczość Fryderyka Chopina.

Bolesław Woytowicz



Jerzy Karolak — pierwsza nagroda w konkursie na plakat dla uczczenia Roku Chopinowskiego



Plakat Henryka Tomaszewskiego (druga nagroda)



Chopin na łożu śmierci według rysunku T. Kwiatkowskiego

Wielkość Chopina to wielkość artysty, który stworzył odrębny styl swojej epoki, który jej przeżył i wzruszenia zamknął w kunszcie nowego słowa, tak sugestywnego dla każdego słuchacza, niezależnie nawet od jego muzycznego przygotowania.

I dlatego myśli i uczucia, które w związku z tą datą nurtują serca i umysły narodu polskiego, są w znacznym stopniu wyrazem tego długu wdzięczności, który został zaciągnięty wobec artystycznej tradycji największego polskiego kompozytora przez cały świat muzyczny.

Tradycje Chopina były zresztą w naszej muzyce zawsze żywe. Nawiązywał do nich Stanisław Moniuszko, dla którego muzyka Chopina była niedościgłym i najdoskonalszym wzorem. Nawiązywali twórcy drugiej połowy XIX wieku, jak Zelenka, Noskowski, Stankowski. Była ona żywą i jedyną tradycją, która uznawała „Młoda Polska”, a przede wszystkim jej największy przedstawiciel — Karol Szymanowski.

Stąd też Rok Chopinowski, wypadający w stułetią rocznicę śmierci Fryderyka Chopina, stanowi dla nas, współczesnych kompozytorów polskich, historyczny moment, w którym jeszcze silniej niż kiedykolwiek zdajemy sobie sprawę z roli jego artystycznej tradycji dla całej polskiej twórczości muzycznej. Winniśmy się zwłaszcza zastanowić, jakie wytwórce możemy czerpać z puścizny naszego geniusza narodowego, czym dla wszelkiej twórczości muzycznej jest to ożywcze źródło polskiej kultury ludowej, które było natchnieniem w jego codziennej twórczości.

Historia muzyki wykazuje, że tylko wówczas, kiedy kompozytorzy w poszukiwaniu natchnienia zwracali się do ludowego tła uosobionego w pieśni, tańcu, poezji, kiedy — jak Anteus — przy padali do życiodajnej matki — ziemi, kiedy starali się zamknąć w swojej twórczości nadzieje, walkę, cierpienia i zwycięstwo nowego człowieka, wówczas tylko muzyka przeżywała okresy swojego

w sercach milionów nowych słuchaczy muzyki. Winna być dla nich tym przeżyciem, wzruszeniem i radością, jaką stanowi dla każdego słuchacza muzyka Chopina. Nie o powtarzanie rzecz prosta, nie o mechaniczne naśladowanie stylu nam w tym wypadku chodzi. W historii nie ma mechanicznych nawrotów. Każda epoka dziejowa tworzy swój styl, swoją sztukę wynikającą z tej formy odczuwania rzeczywistości, z tych kierunków myślowych, z tych form bytu społecznego, które są dla niej charakterystyczne.

Twórczość Fryderyka Chopina staje się dla nas w tych warunkach wzorem i wytyczną jak pod kątem widzenia naszego pokolenia należy rozwiązywać te problemy, które w swojej epoce Chopin rozwiązał w sposób najdoskonalszy. I dla nas istnieje problem, jak organicznie zespolić ludowy język muzyczny z indywidualnym profilem wypowiedzi artystycznej. Jest to złożone zagadnienie nowego stylu naszej epoki, która w jedności treści i formy rozwiąże problem wchłonięcia zarówno narodowej tradycji, jak i nowych estetycznych przeżyć ludzi Polski Ludowej, złączonej uczuciem solidarności i braterstwa z całą ludzkością walczącą o nową sztukę nowego człowieka. A tym samym — w jaki sposób siłą sugestywną własnej muzyki należy uczynić dostępną szerokim rzeszom mas pracujących. I w tym wypadku Chopin może być dla nas mistrzem i nauczycielem.

Niewielu jest bowiem kompozytorów świata, którzy jak Chopin twórczość swoją ograniczają do nielicznych form i gatunków muzycznych, rezygnując z potężnych środków opery czy symfonii, a mimo to umieją w małych formach zamknąć i wypowiedzieć sprawy najgłębiej ludzkie i wielkie, umieją zamknąć w nich tyle, że dzieła ich po dzień dzisiejszy wstrząsają sumieniami zarówno wytrawnych muzyków, jak i nieprzygotowanych słuchaczy.



Kościół świętego Aleksandra



Plac Kraszińskich



Widok na Belweder

EUGENIA KRASSOWSKA

Czterolecie rozwoju nauki polskiej*)

W styczniu mija rok od chwili rozpoczęcia prac przez Radę Główną, która działalność swą w dziedzinie szkolnictwa wyższego i nauki oparła na realizacji założeń państwowego dekretu o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego.

Ostatnie półrocze tego okresu przyniosło przemiany niezwykłej doniosłości w naszym życiu politycznym.

Zewnętrzny wyrazem dokonywającego się przełomu był Kongres Zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej. **Dorobek Kongresu pozwał również i na naszym odcinku oświetlić sytuację jak światłem reflektora,** pozwała na tło jasnego, zdecydowanego określenia istoty demokracji ludowej i jej kierunku rozwojowego ustalić zadania w zakresie organizacji nauki i szkolnictwa wyższego.

Kongres przyniósł wyraźne, konkretne sformułowanie zbiorowych zadań, nie wymyślonych przy zielonym biurku, lecz wyrastających z potrzeb i historycznej walki mas ludowych, zadań opartych o naukową teorię zadań realnych, których wykonanie można konkretnie obliczyć i przewidzieć, zadań niezabranych dla budowy fundamentów socjalizmu, to znaczy świadomego, celowego planowego przekształcania starych form społecznego życia na nowe, coraz doskonalsze.

Podstawę dla realizacji wytyczonych celów stanowi sześcioletni plan, którego zadania są ogromne.

Rola nauki i pracowników nauki w wypełnianiu tych zadań opartych na założeniach teorii naukowej i dostępnych naukowemu przedmioty, jest ogromna. **Nauka swoimi środkami musi współdziałać w budowie fundamentów socjalizmu. Musi stać się istotnym czynnikiem postępu w życiu zbiorowości.**

Ustalenie nowych zadań nauki w uniwersytetach i nauki może być dokonane drogą zbiorowego wysiłku: wysiłek taki został podjęty. Odbywa się nie tylko w Ministerstwie Oświaty ale także w sekcjach Rady Głównej, w licznych zespołach profesorskich, w partiach politycznych, w resortach gospodarczych i w Związku Młodzieży.

Wyniki tej zbiorowej pracy umożliwiają podjęcie próby oceny sytuacji nasyższych wyższych uczelni i nauki, pozwalając sięgnąć do przyczyn tej sytuacji. Na tle oceny sytuacji zarysowują się konkretna zadania, jakie stoją przed nauką i szkolnictwem wyższym oraz Ministerstwem Oświaty i Radą Główną w obliczu doniosłych procesów rozwojowych naszego życia narodowego, w obliczu dynamicznego narastania świadomości mas ludowych.

Ocena sytuacji

Fedując trudną próbę oceny sytuacji ideologicznej wyższych uczelni i nauki chcę poruszyć trzy zagadnienia:

1. jak się odbijał na tym odcinku rozwój sytuacji ogólnopolskiej?
2. jakie formy przybiera na nim tocząca się dziś w Polsce walka ideologiczna?
3. jakie przyczyny złożyły się na to, że niektóre odcinki polskiego życia naukowego pozostają jeszcze pod naciskiem wstecznych ideologii?

Rzecz jasna, że rozwój szkolnictwa wyższego pod względem treści programowych jak też struktury organizacyjnej oraz rozwoju naszej nauki, odznacza się poważnym opóźnieniem w stosunku do innych odcinków życia.

Linia tego rozwoju wykazywała wiele odchyleń, zhamowań i braków, choć obiektywnie trzeba przyznać, że mieliśmy na odcinku szkolnictwa wyższego osiągnięcia wyrastające z zasadniczych procesów rozwojowych naszego państwa.

Przeobrażenia zachodzące w nauce i pracy wyższych uczelni

Przeszłyśmy długą drogę wytyczonej pracy intelektualnej i ideologicznej od stycznia 1946 roku do końca roku 1948, od anachronistycznej krakowskiej konferencji w sprawie potrzeb i organizacji nauki do przygotowania pierwszych, nowych programów niektórych wydziałów przez Radę Główną. Była to droga walki z zacofaniem naukowym, walki o nowoczesne metody badań, nowoczesną organizację nauki: prowadziła ona do często szkodliwych, wręcz wrogich przesądów o zagrożeniu podstaw istnienia nauki, poprzez szeroką wolną dyskusję organizowaną w ramach prac Rady Szkół Wyższych, poprzez żmudną pracę jej komisji i szereg konstruktywnych referatów wybitnych uczonych — do dekretu o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego, do powstania Rady Głównej i szeroko zakrojonych jej prac nad reformą szkolnictwa wyższego i nowoczesnymi formami organizacji nauki.

Wszystkie przytoczone fakty są wyrazem przemian zachodzących powoli w świecie naukowym, są wyrazem zmiany nastrojów panujących na wyższych uczelniach. Umożliwiły one przełamanie nieufności pracowników nauki do reform inicjujących przez ludowy rząd, stworzyły klimat do szerokiej dyskusji na tematy reformy studiów

i planowania badań naukowych, związały z konkretnymi pracami Rady Głównej bardzo liczną grupę najważniejszych uczonych.

Przeobrażenia zachodzące na wyższych uczelniach odbywały się w pierwszym rzędzie pod wpływem zmian w sytuacji ogólnopolskiej w Polsce.

Narastające fakty polityczno-gospodarcze stworzyły warunki sprzyjające naszej pracy, umocniły pozycję nauki w Polsce, umocniły wiarę, że nowy ludowy ustrój daje jej zupełnie nieznane dotąd możliwości rozwoju.

W takim sprzyjającym klimacie Ministerstwo Oświaty i Rada Główna w ciągu roku uzyskały niewątpliwie osiągnięcia, na których czło wysuwa się tak niesłychanie istotne dla wykonania naszych planów gospodarczych, przygotowanie reformy ustrojowej studiów technicznych. Duże znaczenie mają: przygotowanie reformy programowej studiów lekarskich, prace przygotowawcze w zakresie opracowania poszczególnych magistrów, wypracowanie nowych zasad przewodu habilitacyjnego, reforma programowo-organizacyjna ANP i szereg innych.

Mówiąc o wpływie sytuacji ogólnopolskiej na sytuację ideologiczną wyższych uczelni trzeba uświadomić sobie, jak się odbiło na niej błędne pojmowanie istoty demokracji ludowej.

Falszywa ocena demokracji ludowej nie jako procesu, ale jako zamkniętej formy ustrojowej w zakresie stosunków politycznych, gospodarczych, społecznych, jako złotego „środka”, jako kompromisu i syntezy między kapitalizmem i socjalizmem, sprzyjała umacnianiu się elementów reakcyjnych, hamowała ofensywę ideologiczną.

W pracy naukowej, w wykładach uniwersyteckich wyraziła się ona w eklektyczmie, tolerowaniu starych, tradycyjnych teorii naukowych, w dowolności programów, niedostosowanych do najistotniejszych potrzeb życia. „W pracy naszych uniwersytetów” — jak słusznie stwierdził niedawno Prezydent Bierut — całkowicie jeszcze dominują niemiarosocjalistowskie, pseudo-naukowe założenia ideologiczne zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych”.

(Głos Ludu 7/IX. — Przemówienie na naradzie).

Minister Skrzyszewski analizując sytuację na wyższych uczelniach akcentuje słabość naszej ofensywy ideologicznej. „Obóz wrogi, reakcyjny — powiedział Min. Skrzyszewski — klerykałno-kołtuński umocnił się na wielu polach, działa nawet jawnie, przynosząc wielką szkodę. Czasem wręcz można stwierdzić, że pod naszym nosem profesorskie na wyższych uczelniach wykładają bezkarnie jak za czasów sanacyjno-faszystowskich niesamowite reakcyjne brednie”.

Założyło też na pracy wyższych uczelni odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne, ujawnione w życiu politycznym, które się wyraziło między innymi w lekceważącym stosunku do dorobku naukowego Związku Radzieckiego i osiągnięć naukowych krajów demokracji ludowej. W najlepszym razie część nasyższych uczonych zajmowała w stosunku do nauki radzieckiej postawę pseudo-obiektywizmu stwarzając unikając wszelkich ocen. Wylbrzymano natomiast rolę i wartość osiągnięć naukowych krajów angielskich.

Postawa taka, która ulega zresztą korzystnej zmianie, kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo dla rozwoju i postępu samej nauki polskiej. Nikt nie neguje świętych tradycji nauki polskiej, ale nie można przeczyć faktu dysproporcji w rozwoju poszczególnych jej dyscyplin i faktu niedorozwoju niektórych dziedzin, szczególnie w zakresie nauk przyrodniczych i społeczno-ekonomicznych. Wystarczy przerzucić roczniki Nauki Polskiej, aby znaleźć potwierdzenie tak sformułowanego stanowiska w ocenie uczonych tej młodości, co Jan Rutkowski, Aleksander Jabłoński, Małkowskii i wielu innych.

Musimy wyróżnić te dysproporcje i niedorozwoj poszczególnych dyscyplin. Musimy rozwinąć w Polsce najbardziej nowoczesną wiedzę. **Mamy zdrową ambicję narodową stworzenia produkującej nauki polskiej, odpowiadającej olbrzymim i pilnym potrzebom ludowego państwa; nauki przełamującej przestarzałe metody i skostnienie naukowe.**

Nie potrafimy jednak zrealizować dążności do nadania naszej nauce produkującego charakteru bez czerpania pełną garścią z doświadczeń nauki radzieckiej, która wysunęła się dziś na produkującą, najbardziej nowoczesną pozycję nauki światowej.

Odcieple nauki polskiej od tych doświadczeń zapatrzenie się na Zachód oznacza odcieple jej od źródeł rozkwitu.

W porównaniu z tempem rozwoju wszystkich dziedzin życia, w porównaniu z szybko postępującym procesem unowocześniania stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych, tempo demokratyzacji wyższych uczelni, tempo rozwoju postępowych metod i organizacji badań naukowych było jak

dotąd bardzo wolne, tworząc niebezpieczne rozwarstwienie między formami życia zbiorowego a pozycją naszej nauki.

Byłoby jednak błędem ujmować sytuację na wyższych uczelniach w postaci statystycznego obrazu; trzeba traktować ją jako proces rozwojowy, trzeba jasno widzieć w pracy wyższych uczelni i twórczości naukowej przejawy rozgrywającej się we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego walki politycznej.

Przejawy walki ideologicznej na terenie nauki i wyższych uczelni

Walka ta przybierała na odcinku szkolnictwa wyższego różnorodne formy.

Obserwujemy, jak dziś w Polsce po klęsce politycznej wrogie siły antydemokratyczne przeszły do ofensywy na froncie ideologicznym, uważając ten odcinek za słabszą pozycję demokracji ludowej.

Ofensywa ideologiczna elementów wstecznych zarysowała się w ostatnim okresie wyraźnie we wszystkich dziedzinach pracy oświatowej, nabierając specyficznego charakteru w pracy dydaktycznej wyższych uczelni i produkcji naukowej.

W okresie ostrej walki politycznej dla zwalczania postępowych tendencji zmierzających do istotnego unowocześnienia metod i organizacji badań naukowych, operowano metodą „alarmu” o zagrożeniu wolności nauki. Elementy wsteczne usiłowały kształtować wśród naukowców opinie, że Rząd zamierza stosować metody polityczne, represje, że planowanie nauki ma polegać na dyktowaniu uczonym tematyki naukowej, że uczone nie będzie się mógł zajmować indywidualnie wybraną problematyką, że Rząd będzie popierał badania naukowe mające wyłącznie użytkowe, doraźne cele.

Było to fałszywy alarm, że przyszłość nauki polskiej, jej wolność są zagrożone, usiłowano mobilizować nawet poważnych uczonych polskich do walki z władzą ludową w obronie tych rzekomo zagrożonych pozycji. Tej psychologii ulegali czasem rzetelni, wybitni uczeni, nie mogący się jednak zorientować w metodach walki politycznej, nie wrogich demokracji i nie dstrzegający, że za kulami rzekomej walki o wolność nauki w istocie rzeczy stoją ci sami inspiratorzy, którzy w imię rzekomej obrony wolności i demokracji zwalczyli reformę rolną, upaństwowienie przemysłu, dezorganizowali życie gospodarcze, służyli obcemu wywiadowi, inspirowali pogromy w Kielcach i napaść na młodzież studencką w Gorzkowicach.

Wszystko to wywoływało zamęt myślowy, który tak jasnowo wywodził w krakowskiej konferencji 1946 r., podczas której w referacie o zadaniach i potrzebach nauk humanistycznych w Polsce prof. W. Konopczyński głosił, że nauka nie powinna wysługiwać się życiu, że nie powinna wykazywać wobec niego zbytbytniej uległości itd. Tezy sformułowane na tej konferencji miały charakter zdecydowanie wsteczny, przeciwstawiały się planowej organizacji instytucji naukowych, domagały się zupełnej dowolności w dziedzinie nauczania, przeciwstawiały się uprzączeniu studiów itd. Bardzo zbliżoną postawę wobec projektów reformy wyższych uczelni zajęła też była Rada Naukowa Ministra Oświaty na wiosnę 1947 r. Zamęt myślowy, o którym mowa, hamował postępowy rozwój nauki, zatrzymywał naukę na przestarzałych pozycjach metodologicznych.

Metoda walki stosowana w pierwszej fazie przez siły wsteczne w dziedzinie nauki, zawiadła jednak całkowicie w zetknięciu z konkretnym życiem polskim i polityką ludowego rządu.

Obóz ludowo-demokratyczny w Polsce wyszedł zwycięsko z pierwszego okresu walki politycznej, zmocnił się autorytet władzy ludowej. Wielki rozmach w odbudowie kraju, wspaniały rozwój produkcji przemysłowej, postępująca ustawnie stabilizacja gospodarcza rozwalały wiele uprzedzeń i obaw wśród uczonych. Coraz bardziej kruszy się nieufność wobec konkretnej polityki rządu na odcinku szkolnictwa wyższego.

Ludowy Rząd dowiódł, że cenitwórczy wkład nauki polskiej i nie chce nie uronić z jej dorobku. Zamiat strastycznych posunięć i represji otoczył przetrzebiłone przez okupanta kadry naukowe troską i opieką, która stale wzrasta i wznosić będzie.

Również nauka została otoczona ustawicznie wzrastającą opieką. Stworzone zostały nieosiągalne w poprzednim okresie warunki materialne dla rozwoju badań naukowych i produkcji naukowej, która przekroczyła znacznie w wielu dziedzinach stan przedwojenny (przykładowo wymienić można stopniową odbudowę drukarni naukowych, rozwój badań matematycznych, fizyki doświadczalnej, powstawanie nowych instytutów naukowych i inne). **Wszystkie uczeni dobrej woli przekonali się na odcinku własnej pracy, że w walce prowadzonej przez przeciwnika**

metoda insynuacji i oszczerstw wygrał całkowicie obóz polskiej demokracji, wytrącając broń z jego ręki.

Wrogowie demokracji ludowej pokłękę politycznej nie rezygnują jednak, lecz przystosowują się do nowej sytuacji, podejmują walkę ideologiczną. Nowe metody walki znajdują swe odbicie w dalszym różnicowaniu się procesów zachodzących na wyższych uczelniach w nauce i produkcji naukowej, w coraz głębszym rozwarstwieniu wśród uczonych. W związku z tym inaczej kształtuje się sytuacja różnych gałęzi nauki. **Obserwujemy, jak postawa uczonych wobec nowych form życia odbija się zdecydowanie na poziomie i intensywności badań naukowych.**

Przodującą pozycję obok matematyki zajęły niewątpliwie w nauce nauki techniczne, które najwcześniej i najściślej związały się z rozmaitymi gałęziami produkcji, ulegając klimatowi wielkich celów i wielkich osiągnięć, które współdziałały niezawiesznie co prawda w sposób wystarczający w realizacji planu trzyletniego i przed którymi stoją ogromne zadania związane z planem sześciolletnim.

Nauki techniczne

Właśnie w zakresie nauk technicznych znalazł pełne zrozumienie postulat planowania badań naukowych. Oczywiście wynika to i stąd, że planowanie w zakresie tego typu jest łatwiejsze do zrealizowania niż w naukach humanistycznych. Fakt, że twórczy wkład nauk technicznych do unowocześnienia i rozwoju produkcji przemysłowej można cytować mnóstwo; wystarczy przypomnieć poszukiwania naukowe Akademii Górniczej, prace PIG i Rady Geologicznej, radiofizyki Gdańskiej, Warszawską i inne. Nie można jednak upadnąć w przesadny optymizm w ocenie rozwoju nauk technicznych, trzeba jasno widzieć trudności, z którymi one walczą, aby droga odpowiedzialnych zabiegów organizacyjnych ułatwić wyrównanie opóźnienia ich rozwoju.

Trzeba widzieć, że nasza wiedza techniczna ma jeszcze przed sobą poważne zadania w odrobinie załagłości wynikających z warunków jej rozwoju.

Fizyka i matematyka

Szybko unowocześnia się fizyka polska, która w ośrodku warszawskim i krakowskim osiągnęła poziom i rozmach badawczy znacznie przekraczający stan przedwojenny.

Matematyka utrzymała swoją przodującą pozycję. Powstający instytut matematyczny skoordynuje w sposób planowy wszystkie najcenniejsze wysiłki w tej dziedzinie, uwzględniając szeroko w swej pracy praktyczne zastosowanie badań teoretycznych (Wydział Matematyki Stosowanej). Za tymi dyscyplinami nadążają niektóre gałęzi nauk przyrodniczych, wyrazem czego są wyniki badań podejmowane w ośrodku krakowskim i osiągnięcia łódzkiego Instytutu im. Neckiego. Przytoczone tu dla ilustracji, podkreślenie dla ilustracji fakty, które nie wyczerpują rzeczy jasną bogactwa powojennej pracy naukowej — badawczej, świadczą o skutecznym przełamaniu pierwotnych oporów pod wpływem konsolidacji postępowych sił narodu i pod wpływem rozwoju gospodarczego, świadczą o przywróceniu patriotycznej postawie pracowników naukowych.

Humanistyka

Znacznie bardziej skomplikowana jest sytuacja w dziedzinie nauk humanistycznych, które pozostają pod dużym naciskiem toczącej się walki ideologicznej, choć i tutaj niezbędne jest różnicowanie poszczególnych jej przejawów.

Pozorne dostosowanie się resztek reakcji polskiej do nowych warunków politycznych i kurs na przetrwanie znalazły swój wyraz na terenie badań naukowych w postaci problematyki naukowej, jak najbardziej odległej od najistotniejszych historycznych interesów mas pracujących, w braku krytyki i opinii naukowej, w operowaniu pseudo-naukową lub rrienukową teorią i metodą, w nasileniu tendencji idealistycznych. Tendencje te panują w wielu publikacjach naukowych, wykładach, skryptach. Podtrzymuje je wielka ofensywa ideologiczna reakcyjnej części kleru, ofensywa przybierająca różnorodne formy.

Niezwykle charakterystyczna dla tych tendencji jest w naszych publikacjach naukowych powód przyczynkowy filozoficzny, nikta problematyka gospodarcza i społeczna w pracach historycznych. Nie trzeba dowodzić, że autorzy ich świadomie lub nieświadomie uciekają przed nowymi, narastającymi w życiu polskim problemami. Jakże często ucieczki nasz przechodzą obok przemian życia polskiego, nie chcąc ich dostrzec. Oto dwa pozorne drobne ale jakże typowe przykłady.

I. Autorzy wydawnictwa „Leksikon”, przygotowanego ostatnio do druku nie dostrzegają żadnych zmian w treści podstawowych pojęć polityczno-ustrojowych, abstrahując już od faktu zdumiewa-

jącej naiwności politycznej („Faszyszm ustąpił wraz ze śmiercią Mussoliniego”, „Prosto z mostu” określono jako pismo radykalne itd.).

II. Towarzystwo Naukowe Warszawskie jedno z najważniejszych towarzystw naukowych, zasadniczy referat na dorocznym posiedzeniu w listopadzie 1948, powtarzam 48 roku, poświęciło... wycieczce na górę Ararat, która odbyła się przed 45 laty!

Oderwanie się od wielkich procesów rozwojowych narodu i państwa prowadzi do marzmu w dziedzinie „problematyki dotyczącej podstaw światopoglądowych nauki. Brak w polskim życiu naukowym wielkich dyskusji, które by sięgały do podstaw światopoglądowych nauki i tworzyły klimat do dokonania naukowej rewizji podstawowych pojęć i założeń metodologicznych. Zasadnicza interesująca dyskusja na temat marksizmu tocząca się niedawno na łamach „Myśli Współczesnej” miała charakter duetu Ossowski-Schaff, nie znajdując szerszego rezonansu w naszym świecie naukowym.

Rzecz jasna, że fakty cytowane poprzednio nie byłyby tolerowane w świecie naukowym, gdyby istniała w Polsce krytyka naukowa, która jest nieodzownym warunkiem wydajności naukowej i wysokiego poziomu naukowego. Z uznaniem trzeba podkreślić, że mamy w polskim dorobku naukowym dzieła będące szczytowym osiągnięciem europejskiej myśli krytycznej. Według jednak powszechniej opinii naukowców niądymy nie mieli szerokiej krytyki naukowej, która by zmuszała każdego pracownika do zastrzeżonego krytycyzmu względem siebie i innych. Przemilczanie tendencji naukowej, nieangażowanie się do walki z nią jest dziś częstym wyrazem toczącej się walki ideologicznej i wyriakującego z niej nastawienia na przetrwanie.

Czy można bowiem wyjaśnić inaczej fakt, że Tom Nauki Polskiej wydany przez Kasę im. Miarowskiego nie spotkał się z żadną reakcją oficjalnego świata nauki, choć jest w roku 1948 szkodliwym anachronizmem. Wystarczy wskazać na wstępny artykuł „Nauka i człowiek” Artura Górskiego, urągający nie tylko jakiegokolwiek metodzie naukowego wykładu, ale wręcz zdrowemu rozsądkowi. Kilkadziesiąt stron rocznika zajmuje artykuł o pracach podziemnych w czasie okupacji, o nauce polskiej na emigracji i o nauce zachodnio-europejskiej. Rozwoju nauki we współczesnej Polsce wydawcy „Nauki Polskiej” nie dostrzegają. Poza ostrą recenzją publicystyczną Zólkiewskiego w „Kuznicy” i negatywną wzmianką w „Życiu Nauki” wydawnictwo to nie wywołało inego protestu naukowego. Trudno przypuszczać, aby artykuły typu artykułu A. Górskiego wywierały wpływ na naszą myśl naukową, ale fakt przemilczenia ich budzi poważny niepokój.

Panują w przeważającej części prac typu humanistycznego przestarzałe metody, przestarzałe koncepcje, beznadziejność teoretyczna, która powoduje zacofanie naszej humanistyki. Mamy wypadki, kiedy publikacje i skrypty rażą swoją wręcz anachronistyczną nienukownością. Wystarczy wymienić takie publikacje, jak skrypt ekonomii Fabierkiewicza, prace A. Krzyżanowskiego — eruzjastycznie oceniane przez „Tygodnik Powszechny”, pedagogiczne Nawroczyńskiego, jeden ze skryptów teorii prawa, wywodzący pochodzenie prawa od „ducha” i „absolutu”, przekład rasiistowskiej niemieckiej socjologii Piłirima Sorokina „Teorie Socjologiczne XIX i XX wieku”.

Postępowe tendencje w humanistyce

Narastają jednak w zakresie nauk humanistycznych zjawiska świadczące o tym, że na niektórych skromnych odcinkach nauka postępową usiłuje mniej lub bardziej skutecznie zdobywać czołowe pozycje.

Szczególnie wyraźnie daje się to zauważyć w dziedzinie polonistyki, gdzie istnieje już poważny zespół młodych, postępowych uczonych, grupujący w ramach „Instytutu Badań Literackich” niemal wszystkich twórczych pracowników naukowych dokoła nowych prac w zakresie historii i teorii literatury. Ostatni zjazd kół polonistycznych, który odbył się z bardzo licznym udziałem badaczy starszych, był terenem namiętnej dyskusji i walki o naukową metodę ujmowania zjawisk literackich.

Właśnie w polonistyce obserwujemy fakt coraz częstszego ukazywania się prac podejmujących krytykę przestarzałych założeń metodologicznych lub rewizję przyjętych syntez naukowych. Wychodzą one często spod pióra ludzi nie związanych z uniwersytetem — prace i artykuły o pozytywizmie Saloni — Kulczyckiej, Koffa, Stawara o Mickiewiczu — Szpiera, albo rież mających uruntuowanej tam tak zwanej pozycji naukowej: Jakubowskiego, Żurowskiego. W większości wypadków stoją na granicach pracy naukowej i publicystyki nie wywierając jeszcze dostatecznego wpływu na uznaną naukę akademicką.

Wyrasta poważny postępowy ośrodek badań naukowych na socjologii łódzkiej i w warszawskim Instytucie historycznym.

Na ogół podkreślić trzeba, że i w naukach humanistycznych coraz większa liczba postępowych uczonych zaczyna przełamywać przestarzałe koncepcje naukowe i metody, widząc wyraźnie, że dotychczasowy dorobek nauki musi ulec zasadniczej naukowej rewizji, że nauka polska musi przyjąć nowe założenia metodologiczne, musi odpowiedzieć na najistotniejszy, historycznym potrzebom mas pracujących.

Znaczna część naszych uczonych zaczyna rozumieć, że nie można dziś skutecznie rozwijać nauki bez wykorzystania z doświadczeń postępowych klas społecznych, z doświadczeń klasy robotniczej.

Większość naszych uczonych zaczyna rozumieć, że nauka (derwana od wielkich procesów rozwojowych narodu skazana jest na zcofanie i uwiad.

Z codziennych kontaktów z naszymi uczonymi wiemy, że większość gotowa jest wziąć udział w przebudowie nauki. Wiemy, że wielu weszło w swej pracy na żmudną i trudną drogę zdobywania nowych założeń teoretycznych i nowych metod naukowych.

Proces zbliżania się uczonych do nowych, jedynie naukowych metod badawczych jest trudny. Nie odbi się też jeszcze na charakterze naszych publikacji naukowych, ale odbywa się z dnia na dzień dosłownie na naszych oczach.

Obserwujemy również na terenie humanistyki aktywizujące elementy marksistowskie.

Rola uczonych marksistów

Obrazy wrocławskiego zjazdu historyków wniosły nowe elementy do badań historycznych, postawiły problem materializmu historycznego jako najbardziej nowoczesnej metody badań zjawisk historycznych. Znalazło to swój dalszy wyraz w powstaniu grupy marksistów-historyków w pokongresowych artykułach Bobińskiej, Gąsiorowskiej, Jabłońskiego, Sieradzkiego, Werfla.

Powstała grupa ekonomistów — marksistów. Niestety grupy te, jak dotychczas wykazywały zbyt słabą działalność i uaktywnienie ich w rozpracowywaniu konkretnych problemów naukowych jest palącą koniecznością.

Towarzystwo ekonomiczne różnicowało nieśmiało próby przekładów literatury radzieckiej — (E. Litwiński — Zagadnienia ekonomii politycznej socjalizmu ZSRR).

W zakresie pedagogiki Suchański podejmuje popularyzującą zdobywcę pedagogiki radzieckiej; recenzja pedagogiki Gonczarowa, podjęcie zbiorowego opracowania charakterystyki naukowych poglądów pedagogów radzieckich.

Właśnie przed uczonymi marksistami stoi zadanie, aby pomóc wszystkim postępowym uczonym w dopracowywaniu się nowoczesnych metod naukowych, aby ułatwić uczonym wahającym się wykrystalizowanie swej postawy. Stoi przed nimi zadanie, aby wspólnie z bezpartyjnymi uczonymi, korzystając z całego olbrzymiego dorobku wiedzy polskiej, dokonać przebudowy nauki polskiej, aby kształtować i rozwinąć nową postępową naukę polską.

Podkreślić trzeba, że przejawów nowoczesnej i postępowej myśli naukowej, wskazywanych tu przykładowo, nie odczyliśmy dotychczas dostatecznie zdecydowaną, świadomą opieką. Nie doceniliśmy ich doniosłej roli w toczącej się walce ideologicznej, na której jednym skrzydle znalazły się nauki ścisłe, na drugim ekonomia i w zasadzie pedagogika, w centrum wielka różnorodność publikacji w zakresie innych dyscyplin humanistycznych, dopracowujących się z wielkim trudem faktycznym unaukowierla.

Podsumowując trzeba podkreślić: 1. Wiele odcinków naszej nauki i uniwersyteckiej pracy dydaktycznej pozostaje pod dużym naciskiem wstecznych teorii naukowych i przestarzałych metod.

2. Zajmowaliśmy postawę raczej defensywną wobec nacisku tych teorii.

3. Znaczna część postępowych profesorów widzi konieczność naukowej rewizji dotychczasowych założeń teoretycznych i metod. Aktywizują się elementy marksistowskie wśród badaczy naukowych.

Zjawiska te winne stanowić punkt wyjścia dla naszej ofensywy, która należy natychmiast podjąć i która powinna ułatwić uczonym postępowym a także uczonym niezdecydowanym, chwytynym, przejściu na pozycje nowoczesnej teorii naukowej i nowoczesnej metodologii.

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na plenarnym posiedzeniu Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego dn. 14 lutego 1949 r.

W następnym numerze:

„PERSPEKTYWY NAUKI POLSKIEJ”

O pomnik Mickiewicza

Ze wszystkich miast polskich pierwszy Poznań tuż po śmierci Mickiewicza, bo już w roku 1857, zdobył się na jego pomnik dłuta Oleszczyńskiego. Tolerowali niechętnie ten pomnik zarobcy, a w czasie ostatniej wojny zniszczyli go pruscy barbarzyńcy. Poznań ogłosił z początkiem roku 1948 konkurs na projekt nowego pomnika i do udziału w nim zaprosił również kilku najwybitniejszych polskich rzeź-



Pierwsza nagroda: Franciszek Strykowski — rzeźbiarz, ² Konstanty Danko — architekt (plastyk warszawski)

biarzy, a między nimi oczywiście także Ksawerego Dunikowskiego. Dunikowski zaproszenie przyjął — a więc projekt swój wraz z godłem i nazwiskiem, ukrytym w zapieczętowanej kopercie, nadesłał. W konkursie wzięło udział trzydziestu projektodawców. Jury nie szczędząc czasu, rozpatrzyło bardzo szczegółowo i sumiennie nadesłane projekty i ogłosiło wynik odwołując się do miejsca, które warunkom nie odpowiadały.

Ani wśród nagrodzonych ani wśród wyróżnionych nie było jednak projektu Dunikowskiego.

Ogłoszony wynik nie przesądza jednak jeszcze sprawy realizacji pomnika. Konkurs przyniósł wartościowe rezultaty, najcenniejsze bodaj w zakresie urbanistyki, wyróżnił kilka rzeźbiarskich talentów, zespolił pomysły rzeźbiarzy z inicjatywą architektów w skali niespotykanej dotąd w warunkach polskich. Jednym z najtrudniejszych do rozwiązania problemów było przezwyciężenie niebezpieczeństwa grożącego projektodawcom wskutek strasznego sąsiedztwa, brutalnej w swoim wyrazie zamkowej wieży. Słusznie jeden z projektów (24) domagał się jej całkowitego usunięcia.

Skoro wynik konkursu nie przesądza sprawy realizacji pomnika, to wolno tu wysunąć pewne sugestie:

Czy właśnie to miejsce w pobliżu potwornej wieży, które wymieniony projekt 24 wprost rewolucyjnie przeobraża, czy właśnie to miejsce jest w całym Poznaniu istotnie jedynie odpowiednio na monumentalny pomnik? Podobno — po Szczecinie — Poznań jest miastem najrozleglejším w Polsce co do obszaru. Nie świadczyłoby dobrze o naszej urbanistyce, gdyby w tak

rozległym mieście nie przewidywała kilku miejsc, nadających się wybitnie do ustawienia tam pomników.

Wracając do samego Mickiewicza, o którego tu przede wszystkim chodzi, nie mogę od dłuższego już czasu oprzeć się urokowi, bijącemu z jego wspaniałej głowy, wyrzeźbionej przez mistrza Dunikowskiego. Wszystkie znane dotąd podobizny Mickiewicza, portrety, szkice, dagerotypy, fotografie, medaliony czy rzeźby, ta właśnie prześciga potęgą wyrazu, syntetycznością, uwydatnieniem tego, co stanowi istotę Mickiewiczowej osobowości. Jest to w całej pełni monumentalne wyobrażenie.

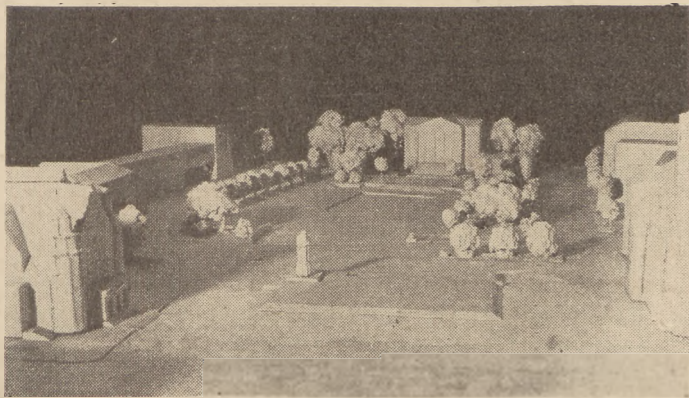
A przecież o utrwalenie w plastyce tej niezwykle skomplikowanej a zarazem zdumiewająco jednolitej osobowości Mickiewicza kusili się różni współcześni mu artyści: Orłowski, Wańkiewicz, Oleszczykiewicz, Dawid d'Angers, Schmelzer, Oleszczyński. Ale rzeźba Dunikowskiego mówi o Mickiewiczu więcej niż wszystkie inne jego wyobrażenia.

Fotograficzne reprodukcje rzucają tę rzeźbę na czarne tło tak, że wylania się ona jakby spoza zasłony, za którą kryje się cały poząg. Chciałoby się zerwać tę zasłonę, aby się wpatrywać w równie monumentalne zarysy całej postaci, w gest równie jak ta głowa mocny, władczy, może podobny do tego, który zastąpił na pomniku projektowanemu ongiś przez Kurzawę w czasie owego Krakowskiego Konkursu niesławnej pamięci. Młot zdruzgotał ten projekt w tragicznym porwywie zawiedzionego artysty. Straciłmy przez to na zawsze pomnik naprawdę godny Mickiewicza, pomnik, na który dotąd w Polsce nie możemy się zdobyć.

Mógłby go nam dać Dunikowski. Ta pewność opiera się o pomnik Dietla, o pomnik powstańców śląskich — a zwłaszcza o tę nieprześcignioną głowę, która wielkim głosem wola o całą postać, związaną z nią rzeźbiarsko.

Mieszkańcy Poznania i Wielkopolski czekają na pomnik Mickiewicza, który będzie pomażał i potęgował żywy kult dla jego wspaniałej osobowości, w monumentalnym kształcie uchwytej dla wszystkich, dla najszerszych kręgów społeczeństwa, a nie tylko dla elity artystów, z których niektórzy zbyt mało wysiłku wkładają w to, aby nawiązywać bliższy kontakt ze współczesnym odbiorcą — natomiast zdają się zabiegać wyniośle o rezonans wśród pokoleń następnego stulecia.

Roman Pollak



Makietę placu, na którym ma stać projektowana rzeźba Mickiewicza

STEFANIA PODHORSKA OKOŁÓW

Gribojedow i dekabryści

W 120 rocznicę zgonu wielkiego pisarza

W roku 1816 powstał pomysł słynnej komedii Gribojedowa „Gorie ot uma” („Biada temu, kto ma rozum”) i w tym samym roku zawiązana została pierwsza tajna organizacja dekabrystów. W latach 1814 — 1818 Gribojedow przebywał w Petersburgu, zrazu jako oficer, później jako urzędnik Kolegium Spraw Zagranicznych. Z tych lat datuje się początek jego zażyłości lub przyjaźni z wielu członkami tajnych związków. On sam w roku 1816 zostaje przyjęty do loży masonskiej „Des amis réunis”, do której należał Pestel i ks. Trubecki, wybitni dekabryści.

M. Nieczkina w źródłowej pracy „Gribojedow i dekabryści” podaje sylwetki tych ludzi, którzy w okresie znajomości z Gribojedowem byli członkami tajnych organizacji: „Związku Zbawienia”, „Związku Dobrych Czynów”, „Towarzystwa Wojskowego”, i tych, którzy później wstąpili do towarzystw: „Północnego” i „Południowego”. Wymienimy najważniejsze postaci:

Biegiczew, towarzysz broni Gribojedowa, Ka ienien, przyjaciel Puszkina, poeta, współtwórca jednej z pierwszych komedii Gribojedowa: „Student”, Zandr, przyjaciel dekabrystów, aresztowany po zamachu grudniowym za to, że ułatwił ucieczkę młodzieńkiemu księciu Odojewskiemu, który brał czynny udział w buncie. Gribojedow poznał Odojewskiego podczas swojego późniejszego pobytu w Moskwie i Petersburgu w latach 1823 — 1825 i nazywał go kłtliwie „enfant de mon choix”. „On jest taki — pisał — jakim ja byłem przed wyjazdem do Persji, plus mnóstwo zalet, których nigdy nie miałem”.

Kawierin, typowy oficer huzarów, pójaczyna i zabijaka, zaprzyjaźniony z Puszkinem, zawzięty wróg pańszczyzny, i jego kolega — Czaadajew, którego Puszkina nazywał Brutusem, obywatel członkowie Związku Dobrych Czynów. Jakuszkina, organizator pierwszego tajnego związku dekabrystów („Związek Zbawienia”). Przez Jakuszkina, Czaadajewa i Szczerbatowa, Gribojedow poznał całe kółko oficerów Siemionowskiego pułku.

Ogółem M. Nieczkina wylicza 45 nazwisk ludzi wybitnych, należących do tajnych związków, którzy tworzyli najbliższe grono przyjaciół i znajomych Gribojedowa podczas jego pierwszego pobytu w Petersburgu tzn. w okresie, kiedy dojrzał w nim pomysł „Goria ot uma”.

Dotychczas niewyjaśniona jest rola Gribojedowa w spisku dekabrystów, ale bez wątpienia nie była to rola jedynie obserwatora. Podczas pamiętnych dni grudniowych roku 1825 Gribojedow przebywał służbowo na Kaukazie przy boku Jeremiołowa, wielkorządcy Gruzji i dowódcy Korpusu Kaukaskiego, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się działo w stolicy. „Jaki tam u was ruch w Petersburgu” — pisał w liście z 18 grudnia. — „A tutaj... poczekamy”.

Zdaje się, że nie bez podstaw aresztowano go pod zarzutem zawiązania tajnego związku przy korpusie Kaukaskim i rozpowszechniania rewolucyjnej literatury w Gruzji. Podobno na śledztwie poruszana była sprawa komedii „Gorie ot uma” i Gribojedow bardzo sprytnie wskazał na postać Riepietłowa, w którym wysmiewa często naówczas w kołach liberalnych typ rzekomo rewolucyjnego frazeologa. Riepietłowa posłużył zatem Gribojedowi za polityczne alibi w spisku dekabrystów.

Choć cała twórczość Gribojedowa była odzwierciedleniem ideologii dekabrystów, odnosił się on krytycznie do wielu ich posunięć. Jego umysł trzeźwy i wnikliwy nie widział perspektyw trwałego rozwoju dla ruchu, całkowicie pobawionego łączności z masami ludowymi, na których, według jego przekonania, przede wszystkim należało się oprzeć. Gribojedowi przypisują następującą sarkastyczną ocenę spóku:

— Stę podchorążych chce obalić istniejący ustrój Rosji.

Wnioski z tragicznych błędów dekabrystów, które doprowadziły do katastrofy 14 grudnia dochodzą do głosu w jego późniejszych dramatach historycznych. Gribojedow przezwycięża obraz indywidualne-

go bohatera, który w swej walce z wrogimi siłami pomyślany jest bez związku z jakimś określonym momentem historycznym, odrębnym pod względem socjalnym, obyczajowym i kulturalnym.

O sile dekabrystycznych przekonań Gribojedowa świadczy fakt, że bohaterem swego dramatu o wojnie 1812 roku czyni pańszczyźnianego chłopca. Dekabryści pierwsi zwrócili uwagę na ludowy charakter tej wojny, która obudziła świadomość narodową mas, na tragiczny los chłopca, który po odniesieniu zwycięstwa musiał wrócić do jarmu pańszczyzny.

Bestużew, jako więzień Pietropawłowskiej twierdzy, tak pisał do Mikołaja I w imieniu chłopów: „Myśmy przelewali krew, a teraz znowu każą nam przelewać pot na pańskim. Wybawiliśmy ojczyznę od tyrańca, a znowu nas tyranizują panowie”.

Z niemiejszą dosadnością wyrażali się dekabryści o sprzeniewierzeniu się przez szlachtę patriotycznym obowiązkom. Sergiusz Wołkoński na zapytanie Aleksandra I, jaki był duch ludu, odpowiedział: — Najjaśniejszy panie! Powinności być z niego dumni, każdy chłop to bohater oddany ojczyźnie.

A kiedy cesarz informował się o nastrojach szlachty, Wołkoński odpowiedział:

— Najjaśniejszy panie! Wstydzę się, że należę do niej.

Literacka działalność dekabrystów rozwijała się pod znakiem walki, zarówno z przestarzałymi kanonami pseudoklasycyzmu, jak z sentymentalną szkołą Karamzina i Żukowskiego — pod znakiem postępowego romantyzmu, który chciał powiązania twórczości z życiem narodu.

W odróżnieniu od pisarzy reakcyjnych, idealizujących ustrój monarchiczny — pańszczyźniany, dekabryści w swoich utworach na tematy historyczne starali się podnieść momenty przelomu, buntu i rewolucji, i wyszukiwali w przeszłości przykłady świadczące o kulcie wolności u ludu rosyjskiego.

„Słowo o pułku Igora” było uważane przez dekabrystów za najwybitniejszą zbytek poezji narodowej. Pod jego wpływem Gribojedow opracowuje wierszowany dramat na tle napadów połowieckich, którego urzyki czytał w 1825 roku A. Murawiewowi.

Zobaczmy teraz, jak osoby czy indywidualne losy dekabrystów posłużyły Gribojedowi jako materiał do stworzenia postaci Czackiego w jego komedii „Gorie ot uma”.

Współcześni z całą pewnością twierdzili, że „Gorie” napisane było pod wrażeniem tajemniczej sprawy Czaadajewa, ambitnego oficera, którego wspaniale rozwijająca się kariera wojskowa załamała się jaśle i bezpowrotnie. Stało się to w następujących okolicznościach. Po wybuchu buntu w Siemionowskim pułku (październik 1820 roku) powierzono mu misję jak najżybszego powiadomienia o tym fakcie cesarza Aleksandra I, przebywającego wówczas za granicą w Opawie na Śląsku na kongresie z Metternichem, Czaadajew misję spełnił. Rozmowa adiutanta z cesarzem w cztery oczy trwała przeszło godzinę. Jaka była jej treść, nikt nigdy się nie dowiedział. Czaadajew wrócił do Petersburga, ale w kilka miesięcy później podał się, tzn. musiał się podać do dymisji co równało się wówczas śmierci cywilnej.

Przyczynę katastrofy Czaadajewa stęgbna fama przypisała jego rzekomemu spózeniu się z ważną wiadomością, którą jakoby Metternich otrzymał wcześniej przez swego kuriera i złośliwie podzielił się nią z cesarzem Aleksandrem. Przyczyną nawet przebieg rozmowy Aleksandra z Metternichem. Na zapewnienie cesarza, że w Rosji panuje spokój, Metternich miał powiedzieć:

— Z wyjątkiem buntu w jednym z pułków gwardii cesarskiej.

Otóż późniejsze badania okoliczności towarzyszących misji Czaadajewa wykazały zupełną bezpodstawność całej tej historii.

Czaadajew przejechał na czas, zresztą cesarz już przedtem otrzymał pierwszą wiadomość o buncie przez feldjęgra. Przyczynę klęski należałoby raczej szukać w godzinnej przeszłości rozmowie Czaadajewa z cesarzem, której treść pozostała na zawsze tajemnicą. Wiadomo tylko, że kiedy Czaadajew podał się do dymisji, cesarz kazał ją przyjąć bez odnaczenia go „czynem”, co już było wyraźnym znakiem nielaski. Podobnie przejęto list Czaadajewa, w którym pisał, że nie widzi możliwości przebywania nadal w Rosji.

O czym mógł mówić Czaadajew z cesarzem? Tynianow *) stawia następującą hipotezę. Bunt w pułku Siemionowskim był wywołany okrutnym traktowaniem żołnierzy przez pułkownika Szwarca, Niemca, który w swoich wymaganiach co do dokładności umundurowania i dyscypliny wojskowej prześcignął chyba W. Ks. Konstantego. Żołnierze jego pułku byli to po prostu niewolnicy żyjący ciągle w strachu przed nieludzkimi karami. Czy Czaadajew nie poruszył czasem w

swojej z górą godzinnej rozmowie z cesarzem problemu tego niewolnictwa?

Sprawa Czaadajewa stała się tak głośna a zbieżność jego poglądów z enuncjacjami Czackiego (którego nazwisko zresztą w pierwszej re-dakcji komedii Gribojedow pisze:



Aleksander Gribojedow

„Czadski”) tak uderzająca, że zaraz po napisaniu „Goria” w 1823 roku Puszkina, przebywający wówczas w zesłaniu w Besarabii, tak pisze w liście do Wiazemskiego: „Mówiono mi, że Gribojedow napisał komedię na Czaadajewa. W obcych okolicznościach to bardzo szlachetnie z jego strony”.

„Napisal komedię na Czaadajewa”. Tynianow zwraca uwagę na to określenie tak bardzo charakterystyczne dla epoki, kiedy mówiło się o komedii „na Karamzina”, „na Żukowskiego”.

Rola plotki i oszczerstwa nie tylko w życiu Czaadajewa, ale i samego Gribojedowa była niewątpliwie pobudką do stworzenia sytuacji w akcie trzecim „Goria”, kiedy Czackiego pomawiają o obłąkanie. Fakty takie nie były obdobre. O „chwilał szalu” u Gribojedowa czy u Kuchelbekera wspominają współcześni. Sam Gribojedow podczas pierwszego spotkania z Kuchelbekerem wziął go za wariata. Zdążył się również wypadki cfcjalnego ogtaszenia za chorych umysłowo osobistości „nieblagagnadnożnych”, aby ukroczyć ich zbyt liberalne postępy i zdeprecjonować prace literackie. Gribojedow w swojej komedii niechęć przepowiedział Czaadajewowi jego przyszły los. Po ogłoszeniu „Listu filozoficznego” Czaadajew został oficjalnie uznany za obłąkanego...

Z tym wszystkim upsohobienie Czaadajewa i jego sposób bycia był diametralnie różny od charakteru Czackiego. Dlatego wysuwano jako właściwy prototyp osobę Kuchelbekera, którego losy (pobyt w zachodniej Europie, powrót do kraju, a następnie szybki wyjazd do Tyflisu) p-krywają się z losami Czackiego. Ale jeżeli przyjrzymy się przeżyciom samego Gribojedowa, odnajdziemy w nich bodaj największą dla zrzucenia postaci Czackiego.

Latem 1818 roku Gribojedow wyjeżdża z Petersburga do Tyflisu, stamtąd do Persji. Przebywa tam aż do wiosny 1823 roku. Otrzymał urlop, przebywał do Moskwy i Petersburga. Podobnie jest z Czackim. W pierwszym akcie komedii zjawia się w domu Famusowa po kilkuletnim pobycie w dalekich krajach, jakich — nie mówi. Zakochany w Zofii, jednocześnie widzi całą nicotę jej otoczenia. Donajwszy oszatecznego zawodu w miłości, czuje że nie go nie łączy z tym światem blichtru i obłudy. Ostatni jego okrzyk:

„Precz z Moskwy! Pójdź szukać w świecie kąta dla uczuć obrażonych” — to hasło ucieczki na Kaukaz.

Nie wiemy, czy Gribojedow w młodości doznał zawodu miłosnego. Wiadomo tylko, że nie ożenił się z żadną z świątobliwych penien jakich niewątpliwie wiele spotykał musiał w Moskwie i Petersburgu. Dopiero jako dojrzały 33-letni mężczyzna poślubił prześlizgniętą i bardzo wykształconą Gruzinkę, 16-letnią pannę Ninę Czawczawadze, u której na pewno szukał tych uczuć czystych, prostych i serdecznych, jakich nie mógł znaleźć wśród bezmyślnych lalek typu Zofii lub „Hrabianki wnuczki” z „Goria”.

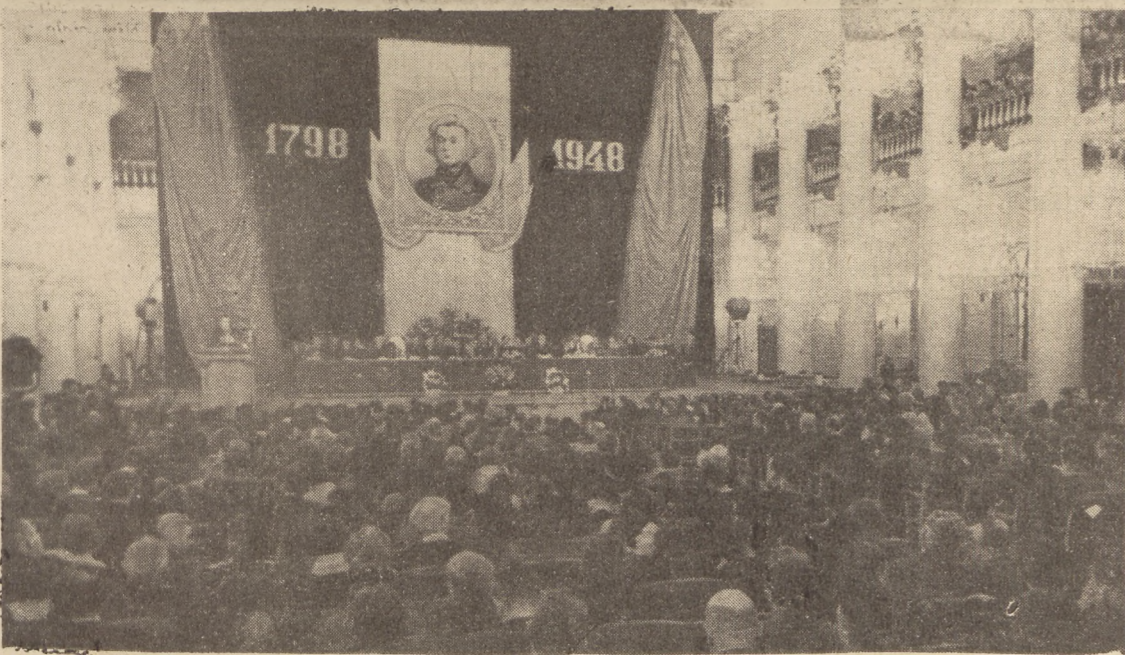
Jedno jest pewne: Czacki wyraża poglądy i uczucia Gribojedowa, z przekonaniami dekabrystów. „Gorie ot uma” odzwierciedla ideologię dekabrystów. Ich bunt i klęska to były śluby graniczne dwóch epok w dziejach rosyjskiego społeczeństwa i rosyjskiej kultury.

Hercen tak pisze o Czackim: „Typ owych czasów to dekabrysta, a nie Oniegin... Jeśli w literaturze odbił się typ dekabrysty z pewnymi rysami pokrewnymi, to chyba w Czackim... Czacki prostą drogą szedł na katorgę”.

Stefania Podhorska - Okołów

*) Rozprawa J. N. Tynianowa pt. „Temat Goria ot uma” ogłoszona w wydawnictwie Akademii Związku Radzieckiego „Puścizna li'eracka”, 47 — 48, Moskwa 1946 rok

Uroczystości Mickiewiczowskie w Moskwie



Sala Kolumnowa Domu Związków Zawodowych w Moskwie

Hold składany przez jeden naród geniuszowi innego narodu, niezmiennie wzrusza optymizmem, wiarą w istnienie najważniejszych więzi łączących z sobą społeczeństwa.

Dał wyraz temu wzruszeniu Boy-Zeleński w swoim pięknym przemówieniu wygłoszonym w Lwowie, w dniu 25 listopada r. 1940: „W chwili obecnej, w 85 rocznicę zgonu Mickiewicza, niosąc hold jego pamięci wszystkie centra kulturalne Związku Radzieckiego... wspólnie i zgodnie wszyscy oddają hold największemu polskiemu poecie, jednemu z najsławniejszych obywateli ludzkości. To ma swoją wymowę”.

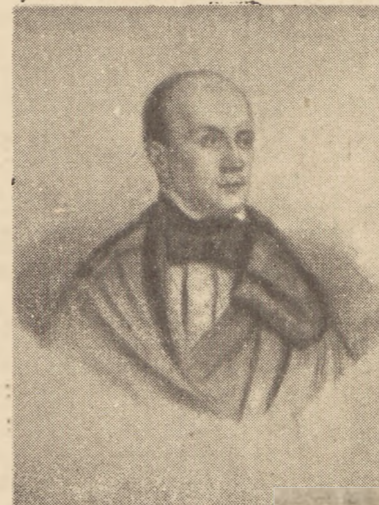
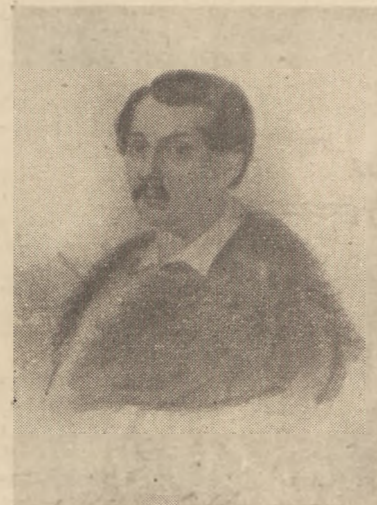
Uroczystości zorganizowane w Moskwie i innych miastach Związku Radzieckiego dla uczczenia 150 rocznicy urodzin Adama Mickiewicza były wyrazem nie tylko holdu, ale świadectwem największego umiłowania twórczości i postaci poety. Nastrój, który panował w pięknej sali Kolumnowej Domu Związków Zawodowych w Moskwie w dniu 23 grudnia 1948 roku, miał przede wszystkim obok podniosłości cechy uroczystości rodzinnej. To przyjaciele zebrałi się, by uczcić pamięć przyjaciela, to potomkowie Puszkina, Rylejewa, Wiazemskiego, Sobolewskiego, Wołkońskiej i tych wszystkich, dla których poeta miał zawsze „gołębia prostotę” — przybyli by raz jeszcze pomówić o tych „przyszłych czasach, gdy narody zapomną waśni”, by przypomnieć sobie między innymi ów wieczór r. 1833, gdy grupa literatów rosyjskich wniosła toast „za wielkiego nieobecnego słownika i nie śmiała wymówić

imienia Mickiewicza, bo za to groziły przesładowania carskiej policji. Zrozumiałe, że na Akademii w sali Kolumnowej przytoczono przede wszystkim znane i nieznane świadectwa serdecznych stosunków, jakie istniały między Mickiewiczem a pisarzami rosyjskimi. Z dokumentów nieznanych najciekawszy był zapewne list poety do Wiazemskiego z r. 1839 ogłoszony we wstępie do I tomu Dział poety, list, w którym Mickiewicz, przesyłając egzemplarz „Le Globe” z nekrologiem na śmierć Puszkina, pisze między innymi: „Odszukałem wzmiankę o Puszkinie. Przesyłam ją Panu, by najmniej nie dlatego, że przywiązuję do niej jakiegokolwiek znaczenie literackie, ale w niej dostrzeże Pan wyraz tych uczuć, które ja żywie

w stosunku do niektórych moich drogich wrogów”.

O pietyzmie dla pamięci Mickiewicza, o wielkiej wielomiesięcznej pracy grafików, tłumaczy, krytyków, wydawców radzieckich świadczą przede wszystkim niezwykle piękne wydania dzieł poety. W dniu jubileuszu ukazały się więc: pierwszy tom pięciotomowego wydania utworów Mickiewicza, oraz oddzielnie „Grażyna”, ilustrowana przez W. Taubera, „Ballady” z drzeworytami W. Domagackiego, oraz „Sonety Krymskie” w języku polskim i rosyjskim z winiętami F. Konstantinowa. Już nazajutrz po wydaniu w księgarniach moskiewskich rozchwytało te piękne książki.

Samuel Fiszman



„Przyjaciele Moskale” — Rylejew, Bestużew i Czaadajew

HEINZ REIN

przełożył ZBIGNIEW STOLAREK

FINALE BERLIN

Czytelnicy „Odrodzenia” znają już powieść Heinza Reina „Finale Berlin” z artykułu, poświęconego jej omówieniu, pióra Leona Kruczkowskiego (Nr 21 (182)). ...Ta niedawno wydana w Berlinie książka jest relacją o ostatnich trzech tygodniach życia, a raczej agonii stolicy Trzeciej Rzeszy. ...Heinz Rein... jest, jeśli sądzić z jego książki — niemieckim antyfaszystą. Nic dziwnego, że na śmiertelne konwulsje hitlerizmu każe nam w swej powieści patrzeć oczynia szczupłej garstki konspiracyjnych berlińskich antyhitlerowców (Oskar Klose, Fryderyk i Lucie Wiegand, Lassehn). ...Los garstki „sprawiedliwych”, los komunisty Wieganda, który kilku przyjaciół wyrzuca się z piwnicznych nrukojów na światło dnia i przelamuje się jak chleb w uścisku ręki młodego żołnierza radzieckiego, którego Wiegand pozdrawia słowem: „towarzyszu!” Drukujemy fragment powieści, która ukazuje się w polskim przekładzie.

Gdy Lassehn wprowadził Wiegandów do piwnicy, wciąż trwało w niej jeszcze milczenie pełne rezygnacji. Tolksdorff siedział nieruchomo na skrzyni przy drzwiach, oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersiach.

— Doktorze Schrötter! — woła podniecony Lassehn — Przyszło dwoje dobrych znajomych!

— Nie rób tyle hałasu — mówi Wiegand.

Dr Böttcher z niedowierzaniem spogląda na przybyłych, których sylwetki odcinają się ostro w ramie drzwi piwnicznych. Zrywa się na równe nogi i podchodzi bliżej.

— Jakże niewymownie się cieszę, że jesteście — mówi, i jego głos nie ma już tym razem tak właściwego mu chłodnego opanowania.

— To niesłychany zbieg okoliczności — mówi Schrötter, potrząsając z ożywieniem dłońmi obojga Wiegandów.

— Zaden zbieg okoliczności — wyjaśnia Wiegand — szukaliśmy was. Nie ma tu gdzie miejsca dla mojej żony?

Tolksdorff podnosi się ociężałe. — Dzień dobry — mówi zmatowiałym głosem i wskazuje na skrzynię — niestety, nie lepszego nie mogę pani ofiarować.

— Wciąż jeszcze nie potrafię tego pojąć — mówi dr Böttcher z przejęciem w głosie — że znowu jesteście z nami... że znaleźliście się tutaj.

— Dlaczego nie zostaliście przy dworcu śląskim — pyta Schrötter — Nie dalo się?

Wiegand z uśmiechem broni się przed nową pytań. — Powoli, powoli, i zawsze po kolei. Poza tym nie ma zbyt wiele do opowiadania. Siedzieliśmy w piwnicy Klosego...

— ...i myśleliśmy o was — dorzuciła Lucie Wiegand. — Byliśmy straszliwie osamotnieni. Przecież to już nazbyt ciężkie, być zmuszonym do rozłąki w chwili, kiedy właśnie jak najbardziej byłymy sobie nawzajem potrzebni.

— Siedzieliśmy więc w ciemnej piwnicy — ciągnie Wiegand. — Byliśmy tak samotni, że wydawała się nam ona dwa razy większa. Styszelśmy jak esesmani hałasowali w mieczkaniu i w sklepie; potem znów nastąpiła w domu cisza. Na zewnątrz trzeszczały już karabiny maszynowe, granatniki pluły bez przerwy w ulicę. Tak minęło kilka godzin; spaliśmy i czuwaliliśmy na zmianę. Po tem, koto wieczora, dom ożywił się; biegania, nawoływania, krzyki, trzaskanie drzwiami. Nareszcie Rosjanie, pomyśleliśmy, jednak byliśmy zdecydowani zacząć jeszcze trochę. Hałas stawał się coraz większy i potem nastąpiła nagle zupełna cisza. Co prawda, na zewnątrz trwała dzika strzelanina, ale w samym domu nie słychać było nawet najlżejszego dźwięku. Nie umieliśmy sobie tego wytłumaczyć. Przedtem uważaliśmy piwnicę za obrzynię; w naszym osamotnieniu zdawało się nam, że jej mury są tak od siebie odległe, że nie mogą chronić, że wydają nas, a w momencie tej nagłej ciszy...

— Zaczęły napierać na nas raptownie i nieustępliwie, tamując niemal oddech — uzupełnia Lucie Wiegand. — Kiedyś, przed wielu laty, czytałam nowelę Edgara Allana Poe, w której opisywał on, jak sufit celi więziennej osuwa się na delikwenta z zabójczo powolną pewnością; tak mniej więcej czuliśmy się i my. — Lucie Wiegand otrząsa się na wspomnienie tych godzin i z drżeniem ściga ramiona.

— Właśnie tak jak żona mówi — zaczyna znowu Wiegand i ujmując jej dłoń — nie mogliśmy oddychać, wydawało się nam, że wraz z wyimaginowanym zmniejszaniem się piwnicy zmniejsza się z sekundy na sekundę zapas powietrza. Nie była to jednak gra wyobraźni, moi państwo, tak było naprawdę. Brakowało nam powietrza, i stwierdziliśmy nagle, że czuć spaleniźną. Z początku nie myśleliśmy o tym, bo ostatecznie spaleniźną czuć dzisiaj wszędzie; a jednak woń ta stała się w końcu tak intensywna, że opuściliśmy piwnicę. Był już najwyższy czas!

— Bo dom palił się od góry do dołu — dodaje Lucie Wiegand.

— No i niewiele pozostaje już do opowiadania — mówi Wiegand. — Najpierw usiłowaliśmy przejść do Rosjan, jednak nie udało się, puściliśmy się więc na poszukiwanie; chcieliśmy was odnaleźć.

— Jakże jednak było to możliwe... — zaczyna Schrötter.

— ...że znaleźliśmy was? — przezywa mu Wiegand. — Nie było wcale tak trudno jak może wam się wydaje; wiedzieliśmy przecież że całą okolicę placu Küsttryńskiego obsadził batalion SS Muchall. Wobec tego wynioskowaliśmy, że i oddział porucznika Tolksdorffa też jest do tego wciągnięty. Więc dopytywaliśmy się...

— Wiegand, czyżbyś nie pomyślał... — ostrożnie zaczyna dr Böttcher.

Wiegand milknie, unika wzroku żony. — Teraz idzie przecież na całego — mówi po chwili. — Unikanie rozstrzygnięcia, to bezsens.

— Brawo! — woła kapral Schuhmann — To słowa führera! A w ścisłości o co tu chodzi?

— Czy szarlotka udaje się lepiej na drożdżach, czy na proszku do pieczenia? — zbywa go Schrötter.

— Strasznieś dowcipny — odparowuje kapral. — Bądź mi pozdrowiona bohaterka dziewczyno niemiecka!

— Wstaje, z ironią skłaniając się przed Lucie Wiegand.

— Wesoly jesteście jak wszyscy diabli — zgrzyliwie mówi Schrötter.

— Wisielczy humor — odpowiada kapral wruszając ramionami.

— Powiedź no, co tam n-węco? — zwraca się do Wieganda — Gdzie Iwan?

— Nawet gazetę mam — odpowiada Wiegand.

— O, jeszcze są nawet gazety? — woła żołnierz Ruppert i przeciska się do rozmawiających. — No i co pisze ta cała „Völkischer Beobachter-morgenpost”?

— To nie żadna zwykła gazeta — mówi Wiegand — ani „Völkischer Beobachter” ani „Berliner Morgenpost”... Masz, patrz. — Wszystkie spoglądają na niewielkie pismo trzymane przez Wiegand.

— Popatrz — drwi Schrötter — kapral w każdym calu!

— A ty też stul pysk — obraca się kapral do Schröttera. — Pan porucznik jest za porządny i pozwolił się wam rozpuścić jak dziadowski bicz.

— Ty — mówi Ruppert z pogrózką w głosie — mam tu jeszcze jeden granat i jak chcesz, to zaraz nim w zęby dostaniesz, nawet zębem miał sam wyfrunąć.

— Ludzie, miejcie trochę rozumu — wtrąca się dr Böttcher.

— A co, może go nie mam? — nastaje kapral.

Dr Böttcher macha uspokajając ręką. — Wcale tego nie chciałem powiedzieć — mówi ustępliwie i zwraca się do Wieganda. — Przecież wolimy posłuchać co tam jeszcze w gazecie piszą.

— Bardzo interesujący komunikat — odpowiada Wiegand.

Nowy głównodowodzący sił powietrznych, Marszałek Rzeszy, Hermann Göring, zachorował. Berlin, 26 kwietnia.

Marszałek Rzeszy, Hermann Göring, zachorował. Chroniczne dolegliwości serca, na które cierpi od dłuższego czasu, przeszły obecnie w ostre stadium. Na skutek tego zwrócił się on sam z prośbą, aby, w czasie, kiedy konieczne jest użycie wszelkich sił, zwolnić go od dowodzenia lotnictwem i od związanych z tym zadań.

Führer prosił tę uwzględnić. Jako nowy głównodowodzący sił powietrznych, z jednoczesnym awansem na marszałka pełnego generalicji, został mianowany przez Führera generał von Greim.

— Ten zachorował w sam czas — odzywa się żołnierz Poppe. — Szkoda, że zwykły rekrut nie może się tak łatwo podać za chorego.

— Nadzwyczaj interesujące — komentuje dr Böttcher — przede wszystkim dlatego, że nie ma ani słowa, czy zatrzymuje on inne stanowisko. Jasne więc, ta historia śmierdzi. Zastępca führera nagle zwirował, a marszałek Rzeszy cierpi na chroniczne dolegliwości serca.

— Gdzie to jest, o Göringu? — pyta kapral Schuhmann. Jego głos stał się niepewny i uirać prawie całą swą ostrością.

— A ty nie wierzysz, co? — dopytuje Wiegand. — Tu, sam przeczytaj, na trzeciej stronie. I tu jeszcze, przekonaj się, że to „Panzerbär” a nie „Krasnaja Zwiezda”.

Kapral bierze gazetę i czyta półgłosem.

— Chyba wierzysz twojej własnej gazecie? — pyta Schrötter.

— Gazetę też można sfałszować — odpowiada kapral, ale jego głos brzmi matowo i bez przekonania.

— Jakże to wydawnictwo? — Der Panzerbär, Herausgeber Fp. — nr 67700.

— Ty chciałbyś tylko w to wierzyć co ci się podoba — odzywa się Schrötter. — Człowieku, czy ty przejrzysz nareszcie?

Kapral odwraca się i gniecie gazetę w rękę.

— No, teraz toś już szach — ma, co, kapralu Schuhmann? — pyta Ruppert.

— Jeżeli wszystko ma iść w diabły, to niech i ja! — odpowiada Schuhmann z wściekłością. — A wy myślicie może, że zostaniecie w tej zakisłej dziurze piwnicznej, żeby we własnej jusze się topić, albo żeby stąd mnie bolszewicy do niewoli wzięli?

— A co? — pyta dr Böttcher.

Kapral milczy zawzięcie. — Ja już coś wykombinuję — dodaje po chwili.

Lucie Wiegand podnosi się i kładzie mu rękę na ramieniu. — Przede-

Fragment powieści

— Tu jest jeszcze jeden niezmiernie interesujący komunikat — woła Wiegand wymachując gazetą. — To musi... — Urywa nagle i odwraca się, czyjś cień wpada przed drzwi i przesuwa się po piwnicy.

— Ktoś idzie — mówi podnosząc się, kapral Schuhmann.

— Chyba prowiant wreszcie przysłał. Kiedy nie ma już nic do roboty, to chciałoby się chociaż coś zjeść, nawet gdyby miało to być ostatecznie napchanie żołądka przed śmiercią.

Grube poduszki butów bębnią po schodach, spadający gruz napienia piwnicę kurzem; w ramie drzwi zjawia się esesman.

— Panie poruczniku Tolksdorff — mówi w postawie służbowej i Hauptsturmführer oczekuje pana w celu omówienia sytuacji. Proszę za mną!

Tolksdorff podnosi się ociężałe i nakłada helm. — Kapral Schuhmann obejmie komendę na czas mojej nieobecności!

Następnie obaj, porucznik i esesman, opuszczają piwnicę.

— Omówienie sytuacji — drwiąco powtarza Ruppert. — Zdziocił ci zupełnie.

— Może chce rozpocząć rokowania kapitulacyjne — zasłania się się chudy długi rezerwista.

— Bawian jeste! — wpada na niego Schuhmann — I dosyć już tego. Nie ścierpię dłużej takiego gadania!

— Myślisz może, że mi gębę na kłódkę zamkniesz? — mówi Ruppert — ty?... nic z tego.

Schuhmann szarpie za płaszcz i przeciąga pas. — Ruppert, mówię ci raz jeszcze...

— Popatrz — drwi Schrötter — kapral w każdym calu!

— A ty też stul pysk — obraca się kapral do Schröttera. — Pan porucznik jest za porządny i pozwolił się wam rozpuścić jak dziadowski bicz.

— Ty — mówi Ruppert z pogrózką w głosie — mam tu jeszcze jeden granat i jak chcesz, to zaraz nim w zęby dostaniesz, nawet zębem miał sam wyfrunąć.

— Ludzie, miejcie trochę rozumu — wtrąca się dr Böttcher.

— A co, może go nie mam? — nastaje kapral.

Dr Böttcher macha uspokajając ręką. — Wcale tego nie chciałem powiedzieć — mówi ustępliwie i zwraca się do Wieganda. — Przecież wolimy posłuchać co tam jeszcze w gazecie piszą.

— Bardzo interesujący komunikat — odpowiada Wiegand.

Nowy głównodowodzący sił powietrznych, Marszałek Rzeszy, Hermann Göring, zachorował. Berlin, 26 kwietnia.

Marszałek Rzeszy, Hermann Göring, zachorował. Chroniczne dolegliwości serca, na które cierpi od dłuższego czasu, przeszły obecnie w ostre stadium. Na skutek tego zwrócił się on sam z prośbą, aby, w czasie, kiedy konieczne jest użycie wszelkich sił, zwolnić go od dowodzenia lotnictwem i od związanych z tym zadań.

Führer prosił tę uwzględnić. Jako nowy głównodowodzący sił powietrznych, z jednoczesnym awansem na marszałka pełnego generalicji, został mianowany przez Führera generał von Greim.

— Ten zachorował w sam czas — odzywa się żołnierz Poppe. — Szkoda, że zwykły rekrut nie może się tak łatwo podać za chorego.

— Nadzwyczaj interesujące — komentuje dr Böttcher — przede wszystkim dlatego, że nie ma ani słowa, czy zatrzymuje on inne stanowisko. Jasne więc, ta historia śmierdzi. Zastępca führera nagle zwirował, a marszałek Rzeszy cierpi na chroniczne dolegliwości serca.

— Gdzie to jest, o Göringu? — pyta kapral Schuhmann. Jego głos stał się niepewny i uirać prawie całą swą ostrością.

— A ty nie wierzysz, co? — dopytuje Wiegand. — Tu, sam przeczytaj, na trzeciej stronie. I tu jeszcze, przekonaj się, że to „Panzerbär” a nie „Krasnaja Zwiezda”.

Kapral bierze gazetę i czyta półgłosem.

— Chyba wierzysz twojej własnej gazecie? — pyta Schrötter.

— Gazetę też można sfałszować — odpowiada kapral, ale jego głos brzmi matowo i bez przekonania.

— Jakże to wydawnictwo? — Der Panzerbär, Herausgeber Fp. — nr 67700.

— Ty chciałbyś tylko w to wierzyć co ci się podoba — odzywa się Schrötter. — Człowieku, czy ty przejrzysz nareszcie?

Kapral odwraca się i gniecie gazetę w rękę.

— No, teraz toś już szach — ma, co, kapralu Schuhmann? — pyta Ruppert.

— Jeżeli wszystko ma iść w diabły, to niech i ja! — odpowiada Schuhmann z wściekłością. — A wy myślicie może, że zostaniecie w tej zakisłej dziurze piwnicznej, żeby we własnej jusze się topić, albo żeby stąd mnie bolszewicy do niewoli wzięli?

— A co? — pyta dr Böttcher.

Kapral milczy zawzięcie. — Ja już coś wykombinuję — dodaje po chwili.

Lucie Wiegand podnosi się i kładzie mu rękę na ramieniu. — Przede-

cież pan jest jeszcze niemal dzieckiem — mówi cicho. — Dlaczego chce pan zmarnować swoje życie? Schuhmann patrzy jej w twarz uśmiechając się krzywo i ponuro. — Tego pani nie zrozumie — mówi.

— Dlaczego?

— Bo to męska sprawa. Schrötter chce coś wtrącić, lecz Lucie Wiegand odsuwa go szybkim ruchem ręki. — Pan pewnie uważa, że pańskie życie jest bez wartości?

Schuhmann spogląda milcząco.

— Jak życie może być bez wartości? — ciągnie Lucie Wiegand.

— Niech pan tylko pomyśli, młody kapralu, mam czworo dzieci, każde z nich nosiłam po dziewięć miesięcy we własnym łonie, własnym ciałem chroniłam, żywiłam własną krwią, rodziłam je w bólach; bóle rozdzierały mnie, kurcze dawały tak, iż za każdym razem myślałam, że nie pozostaje mi nic więcej prócz śmierci. To samo przeżywa i pana matka.

— Po co pani to opowiada? — pyta kapral wciąż jeszcze gniewnie.

— Jak może być bezwartościowe życie, powstałe w miłości, oczekiwanie w nadziei i tęsknocie, zrodzone w biogostawie bólu? — nastaje Lucie Wiegand.

— Piękne słowa, nic więcej — odpowiada kapral i odwraca się raptownie, potem podchodzi do wyjścia i wiepia wzrok w mętne, płynne światło dnia.

— Ty przecież jeszcze wcale nie żyłeś, młodzieńcze —, mówi Lucie Wiegand miękko.

Kapral nie odpowiada, stoi nieruchomo u wyjścia piwnicy. Młody, szczupły człowiek, w zielonym, wytartym płaszczu, z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie, z długimi blond włosami, które mu opadają aż na kark.

— No, rozumiesz wreszcie... — zaczyna żołnierz Ruppert.

Kapral Schuhmann odwraca się gwałtownie, wyrwa rękę z kieszeni płaszcza i szybkim, wywiedzionym ruchem osadza helm na głowie.

— Dajcie mi wreszcie spokój, wy, wszyscy! — krzyczy. — Właśnie nic nie rozumiem!

— Uspokój się malutki — mówi żołnierz Poppe.

— Zamknąj mordę! — ryczy kapral. — Chlew tutaj jest, trzeba was do galopu zebrać!

— Ty tu już całkiem nie masz po kole! — mówi żołnierz Ruppert wskazując palcem na czoło.

— Milcz! — wydziera się Schuhmann. — Może tak staniesz na baczność, ty świński cycku. Wstawaj, dosyć tego dobrego!

— Gdy ktoś ma kręćka, no to ma go we łbie — mówi ze swojego materaca jeden z żołnierzy.

— No, wstawaj, wy dupy wołowe!

Kapral szuka ratunku w rozkazującym tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyzwała się przez wyolbrzymienie własnego ja.

— Nie pieprz! — wpada na niego kapral. — Ty masz tak samo trzymać język za zębami jak i inni! No, wstawaj!

— Foculuj mnie tam, gdzie jestem najładniejszy — odpowiada jeden z rezerwistów nie ruszając się z materaca.

— To odmowa wykonania rozkazu, bunt! — pieni się Schuhmann. — Wiecej, czym to grozi.

— W za gorącej wodzie byłoś kapany — odzywa się Schrötter.

Kapral zdejmując pistolet maszynowy tonie — ironicznie mówi dr Böttcher. — Ukryte uczucie strachu wyz

JESZCZE nie ustały śmiechy za szarym płótnem namiotu. Żelazne kołki z przycumowanymi do nich linami, spływającymi z góry ze spoletałej w mroku wieczoru masy powietrza, prześwietlonej wyciekającym szparami w płótnie żółtym światłem, omijałam ostrożnie.

— To on — powiedziałam sobie. Od razu go poznałam, gdy tylko wszedł na środek jasno oświetlonej areny. Nie zmaćnił obrazu twarzy strój dziwaczny, stroj błękitny, nakrapiany polyskującymi gwiazdkami. Ten sam sposób stawiania kroku, kiedy wszedł, choć tak bardzo zmieniony rekwizytami odzienia. Śmiać mi się chciało na widok tych nóg muskularnych, przywdzianych w jedwabne damskie pończochy. Wejdę do niego i powiem: „Dobry wieczór. Czy poznajesz mnie? Ach, Beka! Tak dawno... Czy pamiętasz jeszcze? Pamiętasz nasze spacery? Księżyc świecił tak samo jak dzisiaj”. Odwrócił się od lustra z twarzą, na której niedokonczona charakterystyka rozśmieszyła mnie. Powie mi: „Popatrz się do lustra. Poznałem cię Mario!” — Jego szorstki głos dziwnie musi brzmieć w tym małym domku — „Widziałem cię na widowni i bałem się, że nie przyjdiesz. Może usiądziesz? Jeśli masz czas?”

Stoję przy wozie i wiem, że tam jest w jego wnętrzu za cienką ścianką. Teraz kiedy mogę odejść rozumiem, że nie potrafię zapomnieć. Nie wmowię w siebie jego nieobecności. Jest i świadomość ta pozostanie. Mogą wola spotkania osłabiać, gdy stanęłam przed domem, w którym mieszka.

„Brudna, uboga dzielnica o ciemnych, krętych ulicach przesiąkniętych wilgocią wpłynęła źle na moje samopoczucie. Pociułam, jak obca jestem w tym środowisku. Nie mogłam uwierzyć, że Beka mieszka w tych brudnych domach. Beka kiwnął się z gospodynią o rachunek za komorne, gdy wszedłam. Był zaskoczony moją wizytą. Na przedce starał się zasłonić kocem niezasłane łóżko i starą czerwoną kołdrę. W jego mieszkaniu było zimno.

Pod namiotem było zimno. Światła reflektorów złote stwarzały wrokoły obraz ciepła, oszukiwały nerwy. Teraz dopiero uzmysławiałam sobie, jak zmarzłam. Powietrze jest chłodne i przezroczyście jak woda ze źródła. Dym papierosa od ust wlewa się w seledynowe niebo przylegające szczerze do krawędzi tarczy księżycy. Może dlatego, że powietrze jest czyste i niebo seledynowe, może dlatego dym jest granatowy jak akwament wylany na obrus.

Adres Beki znalazłam od Luiza. Na rogu Karmelickiej spotkałam Luiza. Dlaczego nazywałam ją z koleżankami: „Luiza? Młota przecież na imię Alicja. Alicja? Zdrobiałnie powinno być Lusja, albo Lu. Tak, ładnie bytoby Lu. Nazywałyśmy ją jednak Luiza. Wtenczas spotkałyśmy Beka. Szedł naprzeciw nas drugą stroną ulicy. Luiza zawołała: „Ave Beka! Czy nie masz czasu? Chciales przejść udając zamysłonego?” — „O nie!” — odkrzyknął — „naprawdę myślałam”. Podszedł i Luiza zaznajomiła nas.

Znamy się od dawna Beka — mówię w stronę wozu — a teraz nie

mam odwagi wejść. Boję się, Beka. Czy się zmieniam? Czy postarzałam się? Powiem mu: Wyglądam jak babcia, przesłam bardzo wiele. Zresztą, on się zmienił. Twarz straciła mocne obramowanie czarnych włosów. Szpakowate skronie zataryły ostrą linią dużego czoła. Zmieniliśmy się. Czas przeszedł, nie spełniło się to, czego oczekiwaliśmy. Inne, lepsze czasy, mała willa, praca wśród dobrych ludzi, wyjazd za granicę. To ostatnie było moim marzeniem, kiedy przyszła wojna. Beka musiał wyjechać. Śnił mi się po rozstaniu; widziałam go jadącego dziewiętnastowiecznym wozem pocztowym, zaprzężonym w dwa czarne konie. Chciałam do niego i wsiąść, nie mogłam jednak ruszyć się z miejsca, w którym stałam. Nogi moje były jakby wrośnięte w ziemię i ciężkie. Wiem, że z wozu wypadło coś jak worek pusty i pozostało przy drodze. Budząc się myślałam o śnie. Patrząc w sufit starałam się przetłumaczyć na język zdarzeń na jawie wroźbę płynącą z majaku. Najprostsze rozwiązanie przyszło od razu, choć chciałam znaleźć inne, bardziej optymistyczne.

Konie były czarne jak te z cyrkowej stajni. Na występ przystrojone w różnobarwne pióropusze z tasemkami, biegają wokoło jak baletnice, w takt krzykliwej muzyki. Konie są takie pocziwe, a niedźwiedzie śmieją łapczywością. Kiedy rzucić im bułkę łapia ją w wyciągnięte szerokie łapy. Na arenie Beka naśladował ich niezdarne ruchy, a widownia ryczała śmiechem zadowolona i klaskała w dłonie. Jestem ciekawa, bardzo ciekawa, Beka, dlaczego to robisz? Pójdę i zapytam:

— Beka, czy pamiętasz nasz pierwszy wieczór? Staliśmy długo przed domem moich rodziców i opowiadałeś o sobie. Tak bardzo jestem ciekawa teraz tego, coś przeszedł w czasie, którego nie dzieliłiśmy razem.

— Usiądź proszę, powiem ci o wszystkim. Jestem taki jak byłem. Jestem szczerzy i pełen wiary.

Księżyc wydobyl się ponad siałkę bezlistnych gałęzi drzew i zawisł jak pajak, który wypadł z pajęczyny. Od miasta wiatr przyniósł mgłę.

— Czy pani czegoś szuka?

— Przede mną stoi w czerwonej bluzie porządkowy. Mam mu powiedzieć, że Beka czeka na mnie, że nie mam odwagi pójść tam... Tyle przecież lat... Sam chyba to rozumie. Czy go to obchodzi?

— Nie. Po prostu chcę odwiedzić mego znajomego.

— Mogę pani pomóc. Jak się nazywa?

— Tak właśnie, zobaczyłam go w czasie występu. Nazywa się Jakub Małeck.

— Jakub? Proszę niech pani powoli.

Podszedł do wozu, otworzył drzwi i zawołał do wnętrza: — Jakub, jakas pani do ciebie. —

— Proszę, niech pani wejdzie. Kobieta o nastrozonych, skrępowanych w pierścienie tłustych włosów prosi, abym weszła. Czuję się jak liść. Wiatr przewraca go na drugą stronę. Tu jeszcze czas nie dotknął go, jest zielony i prawie świeży. Czas nie wraca, wspomnienie jak dawno widziany film wyblakło na ekranie świadomości.

W głębi wozu na składanym krześle siedzi Beka. Odwrócony plecami do drzwi nie reaguje na moje



BARO

rysunki JANA LENICY

O L E O D R U K

wejście. Skrawek jego twarzy z jednym okiem dostrzegam w rogu lustra, tonący w spokojnej, srebrnej tafli.

— Chcę z tobą mówić Beka, Czy ja wiem o czym? To już tak dawno. Prawda? To tylko przypadek, że tu

Powstał z krzesła i wymijając rozrzucone na podłodze przedmioty podchodzi do mnie.

— Pani mnie zna? — stoi nade mną pochylony i wpatruje się uważnie. Wydaje mi się, że poznaje mnie.

jeździł tą budą. To naprawdę nie jest przyjemne. Ja już nie chcę jeździć — dodaje głośno — chodźmy do twojej willi.

— Jeszcze nie czas, — Beka podchodzi do okna. — Spójrz na księżyc — mówi — nie pozwala wracać do dobrobytu, w którym tkwiłem po uszy.

Chwilę moczuję się z zacznającym się zamkiem okiennym. Przez otwarte okno struga zimnego powietrza wlewa się do wnętrza.

— Halo Lucky i ty czerwono-skóry, rączy księżycu! Chodźcie powiedzieć mojej żonie, jaki jestem bogaty! — krzyczy w otwartą, ciemną przestrzeń.

Jakiś głos z dworu odpowiada mu: — Nie wrzeszcz Jakub, cholera komu twoje bogactwa, my wszyscy jesteśmy bogaci.

— No właśnie — mruczy zadowolony Beka i odchodzi od okna. Z zielonego, błachy okutego kufka wyjmuje zniszczony oleodruk i stawia go na etażerze.

— Pamiętasz Beka? — pytam cicho.

— Naturalnie, sądziłaś, że zapomniałem? Spytaj ją — wskazuje na kobietę cerującą — pamiętam wszystko tak jakby to było wczoraj.

Nie kończy i lekki uśmiech jak zabłąkany promień skacze wśród fald skóry.

... Poszliśmy w dół Świętojańską. Przy jednej z wystaw sklepowych Beka przystanął. Nie zauważyłam tego i poszłam parę kroków naprzód.

— Co cię zainteresowało? — spytałam.

Stał przed wystawą małego sklepu. W tej dzielnicy sklepy były ubogie. Ten, przed którym zatrzymał się, to „handel ramami”. Tak głośno szyl blaszany szelazyczny na wierz. Widocznie źle był umocowany. Za szybą wystawy wisiał mały oleodruk i poniewieralo się parę zniszczonych ram.

— Chciałem ci już dawno powiedzieć — zaczął — wydaje mi się, że oleodruki są najbliższe prawdziwej sztuki, która narodzi się, aby służyć społeczeństwu. Oleodruk, to najbardziej masowy obraz. Najsilniej przemawia do każdego. Czy nie warto uczyć się z nich sztuki trafiania do świadomości najprostszyc ludzi? Gdyby każdy posiadacz oleodruku domalował, lub zamalował na nim to, co wyda mu się konieczne, czy zbędne, miałyby to, czego szuka w obrazach wielkich malarzy.

Patrzyłam na cichą, księżycową noc, na drogę zalaną światłem księżycy, na ciemne drzewa w dali i sarnę liżącą przy drodze soczystość zielonej trawy.

— A może mi się tak tylko wydaje? — powiedział.

Któregoś dnia potem Beka opowiadał, że kupił oleodruk i przemalował niebo, a na szosie domalował samochód.

— Kto wie, czy nie zrobiłem odkrycia? — śmiał się. — Ta droga jest mi teraz bliska, bardzo bliska, tak bliska jak nigdy przedtem.

Beka usiadł obok mnie i jego twarz czuła przy ucho. Mówi do mnie niemal na wcho, ale tak



jestem. Zobaczyłam cię na arenie, więc przyszedłam.

— Niech pani sądzić — mówi kobieta z wozu.

Z wysokiej, ustawionej między dwoma oknami etażerki zdjęła skarpetkę nawleczone na szklankę i poczęła cerować.

— Pani do m:ie? — Beka odwrócił się od lustra.

— Beka, nie żartuj — mówię — poznajesz mnie.

— Tak Beka, czyżbym przyszła inaczej?

— To niech pani powie mojej żonie, jaki byłbym bogaty. Jaką mam willę. To wszystko dla niej. O, jak to dobrze, że ma zabezpieczoną starość Niech pani powie.

— Dlaczego nie idziemy tam mieszkać? — kobieta znad skarpetki uniosła głowę i nachyliła się ku mnie, jakby zdradzając tajemnicę, szepcze: — Wiem, że będziemy całe życie

JÓZEF SŁOTWIŃSKI

S A B O T A Ż

Humoreska obozowa

Pan major Kowalski był tego dnia w humorze skandalicznym. Zaczęło się od samego rana, od chwili, gdy młodszy o dwa stopnie i zamieszujący — obok dwu pułkowników i Kowalskiego — czteroosobową izbę sztabowego baraku porucznik Kabza postawił gorącą konew na jego własnym taborecie i oblał przywatną własność majora gorącą miedzą.

Po porannym apelu spotkała majora druga nieprzyjemność. Ober-

Kowalskiego na wspólny herbaciany ogień jest „zbyt skąpy i eteryczny w pasie”. Na domiar ziego ironiczny starzec odsunął menażkę majora od fajerki, co spotkało się z widocznym aplauzem podpułkownika i cichym zadozwoleniem młokosa Kabzy.

Na znak protestu major Kowalski zabrał swoją menażkę z ku-

„Viktoria” nie jadał, bo należał do najobrotniejszych paczkowców w obozie. Miał zresztą od samego początku doskonałe kontakty ze sklepikiem i z Knechtem. Poza tym tego roku zwrócił baczną uwagę na przydzieloną grządkę i postanowił na tym polu odnieść poważne sukcesy. Wszak słyszał od jednego z nielicznych znajomych, że „praca na roli jest lekarstwem dla duszy”.

Major Kowalski minął ostatni stojący na wysokich palach barak i wyszedł na szeroką wolną przestrzeń, opadającą otwartym, pochylonym do słońca stokiem aż po drugą i narozną strażniczą wieżę.

Zatrzymał się. W głębszej dali drgało w powietrzu wąskie pasemko borów. Było tak fioletowe, że mogło uchodzić za wylaniającą się zza horyzontu chmurę. Bliżej, w małej kotlinie czerwieniał kilka dachów folwarku otoczonych morzem falującym pszenicy i dojrzalego żyta. Tam pędzono codziennie roboty żołnierzy z polskiej kompanii gospodarczej. O jakieś pół kilometra za obozem biegła stalowa taśma jednotorowej linii, okrążała pajęczą, na cienkich nóżkach wieżę śpiącego wartownika Krzyżaka, przeskakiwała mostek i wpadała na małą stacyjkę najbliższego miasteczka. Po między linią toru a drutami rosła na wolnej przestrzeni kępka olch, niby rodzina palm na pustyni. Tam założono prowizoryczny cmentarz jeniecki — krzyże czarne i świecące w słońcu białe tabliczki.

Major Kowalski zaczął schodzić w dół po gliniastej ścieżce. Zagłębił się w obozowy ogród.

Pierwsze, najwyżej położone pasmo, były to działki czwarłego batalionu. Ziemia nienajlepsza, twarda, sucha, spękana, nie zatrzymywała rzadkich tego lata deszczów, które spływały na dolne pola, poza szeroką spacerową ścież-

kę, gdzie leżały działki uprzywilejowanego batalionu pierwszego. Godne uwagi majora-ogrodnika okazały się tylko nieliczne i nędzne wyglądające krzaki pomidorów, zrezygnowanie wiszące na białych tasiemkach przywiązanych do krzywych patyków. Major Kowalski z dumą myślał o swojej wzorowej działce i pięknie wystyruganych tyczkach podtrzymujących ciemnozelenie krzaki, osłonięte od wiatru zasłonami z pudełek.

Zanim udał się do działki swego baraku, poszedł spenetrować jeszcze najgroźniejszą konkurencję: grządki ogrodników „z cywila” i ordynansów. Musiał z niechęcią przyznać, iż marchew mieli wspaniałą, ogórki ładnie zawiazane, buraki o naci pełnej najlepszej przyszłości. Całe szczęście, że pomidory charłakowato wyglądały: były blade, bez kwiatu, o kwaśnym staropanienskim wyglądzie. dalekim od myśi wydania poważnej ilości owoców.

Major Kowalski zapalił połówkę „Camela”, zaciągnął się i ruszył ku sztabowej działce. Był pochłonięty myślą o trzech małych pomidorach, które przed ostatnim deszczem zauważył na najdrobniejszym spośród piętnastu swych krzewów. Znalazłszy się przy swojej grządce, uśmiechnął się z zadowoleniem. Starania i ból krzyków opłaciły się.

Były to chyba najpiękniejsze pomidory w obozie. Samych kwiatów naliczył kilkadziesiąt. Trzy pociechy owocowe stały jak dziecko po „Ovomaltynie”. Nawet najmniejszego anemicznego i skazany na usunięcie krzaczek podniósł rachityczne gałązki i nabierał koloru pod cienką warstwą ogrodowego pyłu.

Wzruszywszy ziemię wokół krzaków, major stwierdził, że jest dość wilgotna. Mógł spokojnie wracać do domu. Czuł, że przechadka doskonale go usposobiła, rzucił więc

(Dokończenie na stronie siódmej)



rys. Marek Rudnicki

gefretter Knecht, który za papierosy przekazywał mu poza kolejką paczki do żony — oświadczył spokojnie, że ostatnia wysyłka została przyłapaną przez oficera pocztowego.

Ostatnia kłeska dopadła majora Kowalskiego po południu. Jedyne tytułem starszeństwa wybrany komendantem sali i pełniący te funkcje od dwu lat pełny pułkownik, z którym zresztą major nie rozmawiał od pół roku, zwrócił jemu, majorowi kawalerii cierpką uwagę, że grubo kawałek drewna złożony przez

chenki, wylał wodę przez okno, po czym wydobycszy rozpalony i piekący w palce swój własny ogarek, oblał go wodą, schował do pudełka i postawił uspokoić nerwy dłuższym spacerem wśród drutów.

Obóz leżał całkowicie pogrążony w poobiednim wczesno-lipcowym nastroju. W barakach było cicho, duszno, leniwe. Ziemiaki, zmieszane z historyczną zupą obozową z pokrajonego żywopełu — „Viktoria”, robiły swoje.

Major przestał zgładzać przez otwarte okna. Nie znoził tłumy, a



Baro

no FILM - kino FILM - kino FILM - kino FILM - kino FILM - ki

Z prehistorii filmu poetyckiego

O siedmiu rysunkach piórkim

Dwanaście lat mija, od chwili, gdy Julien Duvivier...

była amerykańskim korelatem „Balu”. Trudno określić, w jakim stopniu...

Jeszcze jedno trzeba dodać konieczne. Tym razem pod adresem „Filmu Polskiego”...

GEORGES SADOUL

Obecne trudności kinematografii francuskiej

W numerze 7(220) „Odrodzenia” Margal pisał o kryzysie powojennego filmu francuskiego...

lub mniej udanych filmów: „Strasznych rodziców” Jean Cocteau, „Mała sześciorożnica” Yves Allégretta...

dzięki energicznej akcji „Komitetu Obrony Kinematografii” udało się wprowadzić kilka ważnych klauzul...



Karol Szubert

»SKARB« Pierwsza powojenna komedia

„Skarbu”, ale tak skwapliwie rzucili się na materiał komediowy, który niesie życie...

jako zawada na drodze postępu. Widz jest skłótny do pobłażliwości. Radca rozbroił go...



Jadwiga Chojnacka

Mały, opisowy i wystrzęgający się monumentalizacji realizm...

Dwanaście lat temu (Hitler nie dokonał jeszcze wówczas nawet Anschlussu) bezkrytycznie zachwycał nad — bezsprzecznie uznanym — dziełem Duviviera...

Mały, opisowy i wystrzęgający się monumentalizacji realizm...

Natomiast działalność Duviviera zapoczątkowała długi łańcuch realizacji, nie wróżący nic dobrego...

Niegroźny (a w każdym razie znacznie mniej groźny) przed dwunastu laty styl „Jęj pierwszy bal”...

Dwa nowe momenty realizatorskie zastosował Duvivier w „Jęj pierwszym balu”...

„SKARB” komedia filmowa opracowana przez zespół produkcyjny „Warszawa” według scenariusza K. Niewiarowicza i L. Starskiego...

Jeden z gości, bawiących na szczytnym kongresie literatów — radziecki dramaturg Anatol Sofronow — napisał niedawno artykuł o komedii jako orężu w walce z przemyłkami kapitalizmu...

W odniesieniu do naszej rzeczywistości trzeba by rejestr zjawisk, które Sofronow wskazuje jako materiał komediowy...

Wartości pozytywne reprezentować ma nowo zaślubiona para małżeńska — szofer autobusowy miejskich i ekspedientka z domu towarowego...

Nawet poczciwy inkasent elektrowni — Halny — ulega owej gorączce zła. Jest coś obrzydliwego w tym zjednoczeniu...

Władysław Jankowski



Ludwik Sempoliński

Duszyński znacznie poprawił się od czasu „Zakazanych piosenek”. Przede wszystkim fizycznie...

Winę ponosi tu zaświadczenie scenariusz, który nie zawiera dośr realiołów, by naszkicować wyraźne typy...

Radca — z takim umiarem i przekonaniem zagrany przez Ludwika Sempolińskiego — jest niewątpliwie typem charakterystycznym...

„Wszyscy ciągle pracują” — dziwi się radca — „epidemia jakaś, czy co?”

Sam radca jednak także gdzieś pracuje, tak przynajmniej sądzi widz, nieprzekonany tym, że pokazano mu radcę w biały dzień w cukierni...

Jeżeli scenarzyści istotnie chcieli dać wyraz swemu przeknaniu, iż najniebezpieczniejszą z ludzkich namiętności jest chciwość...



Jerzy Duszyński i Danuta Szafarska

Wydanie komizmu jest w „Skarbie” dość znaczny. Jest to przeważnie komizm sytuacyjny, choć i dialogi są dowcipne...

W XXXI ROCZNICĘ ARMII RADZIECKIEJ „WYZWOLEŃCZE BOJE ARMII RADZIECKIEJ” Wielka mapa ścienna 170x120 działań wojennych 1941-45...

Należy więc uważać, że tylko 5 procent Francuzów woli filmy amerykańskie. W granicach wieku od lat 18 do 25 liczba widzów...

Byłoby niesprawiedliwością żądać, aby jedna komedia filmowa od razu dała satyryczne odbicie większości zjawisk bieżącego życia...

Brak realizmu jest jedną z głównych wad „Skarbu”. Najlepszą bodaj sceną w filmie jest krótki, niestety, obrazek z zajezdni autobusów miejskich...

Jednak przy wszystkich tych zastrzeżeniach trzeba stwierdzić, iż „Skarb” jest świadectwem dobrej woli i rzetelnej pracy całego zespołu współtwórców filmu...

Obok tak dobrych momentów jak scena w zajezdni, zawałeni się wielopiętrowych ruin...

Wydanie pomógł reżyserowi operator, Seweryn Kruszyński. Zdjęcia są ostre, urozmaicone ruchliwością kamery...

„Skarb” pozwala spodziewać się iż nasza komedia filmowa uchwyci wreszcie istotę dokonywających się przemian społecznych...

Sprawa mieszkań jest dla wszystkich warszawiaków jedną z najważniejszych...

Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie

Dr Feliks Araszkiewicz postawił sobie za zadanie wprowadzenie Prusa jako wybitnego i oryginalnego myśliciela do historii filozofii i nauki polskiej. Na tym miejscu trudno udowodnić, dlaczego zamiar ten nie mógł być uwieczniony powożeniem. Warto jednak przypatrzeć się, w jaki sposób przedstawiciel współczesnej humanistyki polskiej, docent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wiceprezes oddziału Związku Literatów Polskich w Lublinie — usiłuje tezę swoją przeprowadzić.

Jako główną wartość filozoficznego i socjologicznego systemu Prusa wysuwa Araszkiewicz jego wewnętrzną zgodność. „Można przyjąć lub odrzucić tę koncepcję, ale trzeba uznać konsekwentnie stanowisko pisarza” (str. 160) — orzeka z powagą badacz. Sprawdzenie założeń systemu filozoficznego Prusa nie wchodzi w zakres jego zainteresowań: zdaniem jego, wystarczy jeżeli system jest konsekwentny; prawdziwość jego bowiem i tak nie da się dowiedzieć. Dlatego też Araszkiewicz zgadza się z Gawec-

kim, że system metafizyczny Prusa wyłożony w „Emancypantkach” „posiada nie mniejszą wartość niż doświadczenia innych filozofów — łącznie z materialistami, ponieważ ci ostatni przekraczają sferę nauki i jej metod, gdy swoje przypuszczenia przyjmują za prawdę negującą istnienie świata pozasensualistycznego” (str. 79).

Ale Araszkiewicz szuka i innych „zasadnień” dla swej tezy. Za wszelką cenę stara się wykazać, że idee Prusa są w pełni aktualne i postępowe. że Prus „dochodzi do koncepcji przebudowy społecznej za pomocą **uspołecznionego** ustroju gospodarczego” (str. 346) (twierdzenie co najmniej nieostrożne i wysnute, że propagował on kasy ziemie, nie mówiąc, że „kładł podwaliny pod nowy gmach ustroju, w którym nastąpić musi rozwiązanie społeczne i psychologiczne konfliktu jednostki i społeczności” (str. 340). Ze „wizja nowego świata — nowej kultury w ujęciu i obrazach Prusa, prowadzi nieuniknionie do realizacji nowego świata bezklasowego, opartego na pozytywnych momentach dziedzictwa kultury zachodnio-europejskiej” (str. 341*). Krótko mówiąc, że Prus — mieszczański liberał, skłaniający się na starość do koncepcji był w gruncie rzeczy prekursorem Polski socjalistycznej.

* Feliks Araszkiewicz: Bolesław Prus. Filozofia — Kultura — Zagadnienia społeczne, Wrocław-Warszawa, Książnica-Atlas, 1948, str. 367 i 1 nł.

System filozoficzny i socjologiczny Prusa stara się autor zrekonstruować na podstawie obfitej cytowanej książki „Najogólniejsze ideały życia” oraz innych rozpraw i artykułów Prusa. Dane są zaczerpnięte uzupełnia przy pomocy wypowiedzi behawerów i odpowiedniej interpretacji motywów powieściowych. Uzupełnienia te urągają jednak wszelkim zasadom poprawności logicznej. Np. Araszkiewicz przypisuje Prusowi poglądy, że „tylko człowiek cierpiący zdolny jest podnieść się do wyżyn sztuki” dlatego, że „rekonwalescent Wokulski znajduje prawdziwe ukojenie w lekturze Cervantesa i Swifta” (str. 198). Twierdzi, że Prus „w sprawie i zwyczajów dziedzictwa wielkich posiadłości bogactw, zarówno ziemskich jak pieniężnych” dopatruje się „wielkiej demoralizacji, wzrostu popędu używania a co zatem idzie małej wytwórczości, spadku kultury materialnej” (str. 141), tylko na tej podstawie, że bohater jednej z młodzieńczych nowel Prusa, otrzymawszy wielki spadek, stał się lajdakiem i rozpustnikiem. Araszkiewiczza nie interesuje zu-

pełnie ewolucja przekonań Prusa. Nie interesuje go również zależność jego filozofii od rzeczywistości społecznej, w której żył. Skąd płyną tęsknoty metafizyczne Prusa? — zastanawia się w pewnym miejscu autor. „Czy to wynikało u niego z osobistych predyspozycji organizacyjnej duchowej, czy bardziej z logiki rozumowań — pisze — trudno wyrokować, a uzasadnić tego niesposób” (str. 107).

Inne uwarunkowania przełomu religijnego w poglądach Prusa nie wchodzi w ogóle w rachubę. Czytamy przecież o parę stron dalej, że poglądy myśliciela zależą od „czucia podstawowego osobistej i narodowej psychiki” (str. 123).

Ażby gruntownie przekonać czytelników o wartości systemu filozoficznego i socjologicznego Prusa, Araszkiewicz co krok zestawia go z podobnymi wypowiedziami innych uznanych przez siebie autorów — od Arystotelesa po przez Słowackiego i Nerwida do — Brzozowskiego i Zygmunta Wasilewskiego. Często są to zbieżności pozorne lub dotyczące truizmów, prawie zawsze przypadkowe, a więc dla zrozumienia stanowiska filozoficznego Prusa — bezplodne.

Cóż bowiem wynika stąd, że poglądy Ochociego z „Lalki” na cy-

wilizacyjną rolę geniuszów potwierdza J. K. Potocki i rozszerza jeszcze Leon Chwistek? (str. 117). Albo, że Bolesław Prus i Roman Ingarden wymagają od krytyka przejęcia dzieła sztuki „przed przystąpieniem do badania rozumowego”? Albo, że amerykański socjolog Douglass i Prus „godzą się, że nie mogłoby być żadnego znaczącego postępu cywilizacji bez ewolucji pewnej organizacji społecznej” (str. 244). Albo, że Prus i Tadeusz Kotarbiński wiedzą, że „prawda i fałsz są wieczne” (str. 107).

Zapewne, wszystko to świadczy o szerokiej erudycji autora. Mimo woli jednak przywołał na myśl namiętnie wywody ojca Honorata z „Monachomachii”:

Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie,
W ciemnej nocy, że jasny dzień
wschodzi...

Jeszcze gorzej się dzieje, gdy autor cytuje zdanie innego autora nie obok poglądu Prusa, ale — **zamiast** niego. Przykład:

(Jako robotnik w fabryce Lilopapa) Prus pisał, że „człowiek powinien mieć możliwość życia na stopie współmiernej zasługom, jakie oddaje”, jak powiada Ford w swej ciekawej książce „Moje życie i dzieła — ale także i to, że „każda

cywilizacja potrzebuje przywódców (organizatorów), zdolnych do robienia wynalazków i posiadających władzę narzucania tych wynalazków ogółowi” (str. 137). Na jakiej podstawie Araszkiewicz przypisuje ten pogląd Prusowi — niewiadomo.

Pilny czytelnik Forda mniej pilnie przestudiował prace klasyków marksizmu, choć dosyć często o teorię materializmu filozoficznego zaczepta. Stąd kompromitujące błędy w dwustronicowym streszczeniu filozofii marksistowskiej („Materializm historyczny — dialektyczny” rozwinięły się z czasem w ruch tzw. socjalizmu naukowego oraz w ruch polityczny, który otrzymał miano komunizmu «rowocznego» — stąd rzekome przeniesienie darwinowskiej teorii walki o byt do zagadnień społecznych, pogląd, jako, by materializm historyczny opierał się na teorii Moleschotta i Feuerbacha, dowodzącej, że mógł być wytworem jakości odżywiania (str. 40). Stąd rażące potknięcia, gdy autor — wulgaryzując George'a Lukacsa — próbuje socjologicznie interpretować charakter i sytuację utworów Prusa. Obok nielicznych trafnych stwierdzeń — poglądy tego rodzaju: „Historycznie... sytuacja socjalna chłopów „Płacówki” jest pierwszą fazą nowej fali dziejowej, zmierzającej do równowagi stanów na razie podświadomie” (str. 258).

Od referowania poglądów Prusa przechodzi autor niepostrzeżenie do własnych poglądów, co nie znaczy, że są to poglądy oryginalne. W dziedzinie filozofii głównym jego przedmiotem jest słownik filozoficzny R. Eislera, w dziedzinie socjologii — amerykański badacz Mac Douglass, przedstawiciel kierunku psychologicznego usiłujący wyjaśnić instytucje społeczne przy pomocy — odwiecznych instynktów natury ludzkiej i „ducha grupy”. Są oczywiście i inni informatorzy. Z całą powagą przytacza autor zdanie A. D. Lindsa, który określa państwo nowoczesne „w ogóle” jako „narzędzie zabezpieczające szczęście, nie prawa jednostki do życia zgodnego z sumieniem” i dodaje, że „państwo jest wyrazem prawa a społeczeństwo wyrazem moralności” (str. 300).

Z aprobatą Araszkiewiczza spotkały się również wywody „znakomitego” Alexis Carrela (którego Prus, jakoby „wyprzedza”), „Musimy przypomnieć sobie, że człowiek jest tworem całkowicie niepodzielnym, złożonym z tkanki, ciał płynnych i sumienia. O ile sumienie łączy się w naszych organach, przedłuża się jednocześnie poza nasze istnienie fizyczne” itd. (str. 170).

Nie zostało natomiast podane źródło wywodów następujących:

„O strukturze grup społecznych decyduje kultura współżycia społecznego uzależniona od rasy, pojętej antropologicznie, czyli podobne właściwości anatomiczne, fizjologiczne i psychologiczne, utrwalone przez dziedziczność biologiczną — oraz rasy, pojętej socjologicznie, tj. wspólnoty cywilizacji, języka, obyczajów, religii, sztuki, techniki, literatury, utworzonych drogą tradycji społecznej” (str. 252).

„Chociaż samowiedza grupy wprowadziła się z tajemniczym złóż pierwiastkami rasowej, to jednak jej pogłębienie się i rozwój uzależnione są mocno od roli przywódców, reprezentatywnych świadomych swego działania twórców” (str. 252).

Nie dziwnego, że zdaniem Araszkiewiczza przy zestawieniu polskiej rzeczywistości społecznej drugiej połowy XIX w. z obrazem pruskim należy zastosować wiedzę o „wpływie czynników rasowych na kształtowanie się środowisk narodowo-społecznych” (str. 253). Jeżeli autor nie korzysta z wyników „wiedzy o rasie”, to jedynie z tego powodu, że „posiada (ona) bardzo różne hipotezy”.

Przytoczyłem tych kilka zdań nie tylko dlatego, że autor gdzie indziej pisze o realizacji nowego świata bezklasowego, która „nie zatrzymała jednostki w totalizmie rasowym” (str. 341), ale i dlatego, że poświęcił swą pracę „pamięci poległych i umęczonych za Ojczyznę i Godność Człowieka”.

Książka Feliksa Araszkiewiczza otrzymała nagrodę literacką Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie za r. 1948.

Marek Włoczyński

JEAN FREVILLE

TWORCY SOCJALIZMU
NAUKOWEGO

Tłum. A. Małcki

Str. 257

zł 300

SABOTAZ

(Dokończenie ze strony czwartej)

Ostatni raz okiem na swoje gospodarstwo, odwrócił się i... zdeptał. Za małą sycizną oddzielającą grządkę majora od całkowicie zapuszczonej i pełnej zielska działki pułkowników był maleńki kwadrat gruntu uprawiany przez ostatniego współlokatora, porucznika Kabze. Na tym kawałku dojrział major sześć krzaków pomidorów! Zaden wykrzyknik nie jest w stanie oddać uczuć panamajorowych i mały który wykrzyknik byłby w stanie oddać należyty hołd tym sześciu potężnym, rosochatym, niemal granatowym w barwie płomieni zieleni, wyrastającym zuchwale ponad otaczające buraki, marchewki, pietruszki i kalarepy, ponad wszystkie okoliczne grzędy — z majora Kowalskiego działka włączona.

— Ki diabli — szepnął major i ruszył ku wspaniałym okazom. Obejrzał je dokładnie. Pomidory przypominały mu wyborową gwardię ustawioną w dwuszerowy frontem do słońca. Liście miały aksamitne, delikatnie omszone, o ostrym wykofiu, jędrne.

Odkryta patykami ziemia była ciemna, wilgotna, tajemniczo tułsta.

— Hmm... niesłychane! — zakończył badanie major i uczył się głęboko i oszczędnie dotknąć. — Skąd u takiego porucznika coś podobnego! Kowalski należał do ludzi ceniących honor i ambicję nade wszystko. W warunkach obozowych pięciolatwie podkreślał, gdzie się dało i jak się dało, swoją przewagę, wybierając umiejętnie te dziedzin, w których przewaga była do osiągnięcia. Swego czasu przed wojną zdeptał się z ogrodnictwem przez przyjaciela z lat dawnych, który nodował rzadkie gatunki róż. Pod jego nawet wpływem Kowalski zasiał przed domem rzodkiewkę i przynosił z triumfem czerwone kulczki i białe sople pani Kowalskiej na kolację. W obozie znów, kiedy w walce z awitaminacją szal ogrodnicy ogarnął szerokie grono kolegów. Kowalski wystarał się o niemiecki podręcznik ogrodnictwa i ruszył do boju z pełną nadzieją zwycięstwa.

Zresztą był przekonany, że sprawa pomidorów jest sprawą publiczną, obozową, że jego wyniki to nie tylko opinia o zielonych krzakach — ale opinia o człowieku i — bądź co bądź — oficerze sztabowym starej, kawalerskiej daty!

— A tu nagle taki „porucznik”! Taki Kabza! Z cywila jakaś nauczycielina tupa i poślednia! Jednostka, której dotąd, poza tym nieszczerym obławianiem taboretu, w ogóle nie zauważył. Po prostu szlag może człowieka trafić!

Major Kowalski postanowił działać. O tym, żeby mu Kabza zdradził tajemnicę niespodziewanego rozrostu pomidorów — nie mogło być mowy. Zresztą oficerowi sztabowemu nie uchodziło w żadnym wypadku posuwać się do tego. Przebieg myślimi ostatnie dni. Podlewiał krzaki regularnie, zresztą od jakiegoś czasu codziennie w godzinach wieczornych kropił ciepły, przyjazny kapuśniaczek. Co więc się stało w tych czterech dniach?

Jedynie wytumaczenie znajdował w fakcie, że porucznik wystarał się cudem o sztuczny nawóz, albo miał wyjątkowo szczęście w chwili, kiedy para ciężkich meklemburgów przynosiła z za drutów jenieckie paczki na obozową pocztę. Drugie przypuszczenie wydawało mu się mało prawdopodobne, bo kandydat na nawóz koński była gromada. Ale kto wie.

Kowalski spojrzął na zegarek: zbliżała się czwarta, pora normalnego przywozu paczek. Należało działać za wszelką cenę.

Zapiwszy bluzę, jak przed po-

znanym działaniem bojowym, major ruszył szybkim krokiem ku barakom. Zapomniał o nerwicy serca i o swoich pięćdziesięciu prawie latach; młodzieńczo przeskoczył odwadniąjąc rów i na przelaj pędził do baraku.

W izbie pułkownicy spali na sienkach, Kabza czytał przy oknie książkę. Nawet nie odwrócił głowy w stronę wchodzącego. Kowalski był również opanowany; najspokojniej w świecie wziął spod kucharki łopatkę do węgla, zdjął ze swojej szafki pudełko, w którym zwykł był nosić paczki żywnościowe z poczty, włożył w nie po cichutku łopatkę i tak uzbrojony wyszedł, kierując się w stronę paczkarni na mały przedobozowy placik.

W wydłużonym czworoboku zamkniętym z dwóch stron podwójną ścianą drutów przegrodzoną kołkami hiszpańskimi, stał barak pocztowy, niczym nie różniący się od setki innych drewniaków mieszkalnych, tylko nieco dłuższy i z kratami w oknach. Najdalej ku wolności wysunięta szczytowa ściana poczty dotykała umocnień bramy wejściowej, przy której z karabinem i w hełmie stał „wachman”.

Kowalski skonstatował z przyjemnością, że przed pocztą nie ma nikogo. Widocznie poobiednie pora i upał robiły swoje. Siadł wobec tego na stopniach kamiennych schodów i czekał. Po tamtej stronie drutów na rezedowym klombie bawiły się dwa psiaki, dwa żywe kłębiaki wełny — czarny i rudy. Ucepiłona na wysokości tyce hitlerowska „fana” zwisała jak mokre prześcieradło, nie poruszone najcięższym podmuchem. Majora zaniepokoiła ta cisza. Było już po czwartej. Może dziś paczek nie przywiezie? — myślał. Wartownik powinien wiedzieć.

Kowalski złożył pudełko na schodach i podszedł do zaryglowanej bramy. „Wachman” wyglądał dość „dobrotliwie”. Zsunął się niedbale na tył głowy hełm i wielkie wasy buziły w doświadczonego oficera zaufanie. Ruchem, jakim w ogrodzie zoologicznym wymyjuje się dla małego cukierek, wyjął z kieszeni papierosa i wysunął go przez kratę.

— Amerykanishe! — szepnął porozumiewawczo w stronę wartownika.

Niemiec w pierwszej chwili odpedził go ręką.

— Loos... weg...! Potem odwrócił się tyłem do oficera i... badał przedpode. Uspokojony całkowicie nieobecnością któregośkolwiek z „kameradów”, poprawił się i zerknąwszy na jeńca — przeszedł służbiście wzdłuż bramy, towarzysząc fachowo wystawionego papierosa.

Major miał gotowe pytanie: — Die Paketen heute werden kommen? Ja? — powiedział akcentem kieleckim. Niemiec przystanął. Pokazał gębę, uśmiechnął się.

— Freilich — mruknął i wskazał głową na zakręt prowadzący drogi do obozu, na którą wchodziła się wielka platforma nawalona pakunkami; ciągnęła ją para olbrzymich meklemburgów.

Major Kowalski rzucił się po swoje pudełko. Na schodkach siedziało już trzech jeńców. Wyrosli chyba spod ziemi. Dwóch trzymało ostentacyjnie wiaderka, trzeci skrywał pod płaszczem coś wielkiego.

Major obrzucił ich zirytowanym wzrokiem.

— Chciałem panom zwrócić uwagę, że ja tu byłem pierwszy — podkreślił, biorąc pudło i wyjmując manifestacyjnie łopatkę.

Rude chłopisko w płaszczu obróciło wielką, nieogoloną gębę:

— To zależy... — powiedział spokojnie, wyciągając z faldów olbrzymią ogrodową łopatę.

— Jakto „zależy”? Co to znaczy „zależy”? — irytował się major. — Wszędzie obowiązuje kolejka! —

— To zależy — panie majorze — komu kurka jasko znieśnie... — Jaka „kurka”? Jakże jasko? — nie zrozumiał major.

— Może być kobyła zamiast kur-

ki — panie majorze i g... zamiast jasko. Nie trza się denerwować i... zobaczymy... Każdy ma takie samo prawo!

Tymczasem lora wyjeżdżała przez bramę obozową. Szesciu panów z pudłami i wiadrami (w międzyczasie doszło jeszcze dwóch) czuło dreszcz zdenewowania. Kiedy wóz nawrócił i zatrzymał się, poszukiwacze skarbu otoczyli momentalnie zgrane koniska. Pchano się do zadów. Major Kowalski znalazł się pierwszy przy ogniu tęgiego gniazdosa. Po przeciwnej stronie, przy karej kobylicy operował zarosnięty rudziel. Wydobyl spod płaszcza ogromne pudło, otworzył je i położył starannie na ziemi pod koniskim ogonem. Kowalski poszedł szybko w jego ślady.

— Tamta kobyła jest pewniejsza. Ja wiem! — zauważył za majorem stojący z wiadrem kapral. — Wałach ma odpowiedzialny żółdek: raz na dzień po śniadaniu... — Już ja wiem swoje — zgromił go major — Zobaczymy. Jestem starym kawalerzystą!

Rozpoczęło się denerwujące wyekiwanie. Kilku strzelców pod kierunkiem niemieckiego frajtra zabierało się do znoszenia systemem lańcuchowym paczek z lory do kamery. Spod oka, z wesołymi minami obserwowali grupę zgromadzoną wokół koniskich ogonów.

— Franek! — jak pragnę zakwitać, rzucę handel drzewem i przeniesiem się na g... — zauważył flegmatyczny warszawiak.

Gruby, nabity jak baleron, Franek zarechotał i zaczął żywiej rzucać paczki.

Major Kowalski i grupa czekających udała, że nie słyszy. Rudziel oparty na łopacie palił papierosa i obserwował pysk karej kobylicy. Nie było w niej ani cienia smutku, ni skupienia. Wręcz przeciwnie nawet. Położyła flagrantnie łeb na szyl swego kompana i obserwowała najspokojniej majora i stojącego za nim kaprala.

Kowalski niecierpliwil się coraz mocniej. Zachowanie się koni uważał za impertynencję. Nie cierpiał wszelkich kolejek, czekania. Ustąpił nie miał zamiaru, ale sytuacja była nieznosna, głupie szkopskie konie bez cienia taktu... Dodatkowo denerwował go rudy towarzyszył z przeciwka. Był posagowo spokojny, nieobecny.

— Co sobie taki dureń wyobraża — myślał major, patrząc z niechęcią ra ogrodową łopatę.

Tymczasem rudy obywatel rzucił niedopałek, splunął i odwrócił się od karej, która nie przestawała kokietać gniadego i teraz liżała go czule po spocymni, śniącym karku.

— Coś mi się widzi, majorku — zagadnął poufale rudziel — że będą z tego na dziś nici. Kurka nie chce jasko znieść, a koniki dziś romansowo nastroszone... Starej na miłość się zbiera.

Major kawalerii Kowalski odwrócił się od aroganta. Stojący za nim kapral miał twarz skupioną.

— Gdyby tak podzurzyć karemu cukru... to kto wie? — doradził.

— Nie noszę przy sobie cukru. Koń dobrej klasy powinien po wysiłku mieć wypróżnienie — zauważył sucho kawalerzysta.

Strzelcy kończyli robotę przy paczkach. Najweselszy z nich, który nabrał grubego Franka, nie zamykał gęby i co chwila mruął w stronę niefortunnnych „ogrodników”. W końcu zlął z lory, podciągnął spodnie i zbliżył się do majora.

— Ja panu coś powiem, ale na osobności... Kowalski obruszył się w pierwszej chwili.

— Czego sobie życzyście? — zapytał ostro.

— Ha! — jak pan major nie chce mieć nawozu pod pomidorki, to nie! Prosić się nie bede.

Major Kowalski uważał się dotąd za świętego znawcę obyczajów koniskich. Kiedyś w pułku kawalerii wołano go zawsze do cięższych wypadków jako eksperta, ale o czymś podobnym nie słyszał. Spojrzał bystro na strzelca. Tego już nie było pod płotem. Niebadał podnosił boczna ścianę platformy i zamykał na hak. Lora miała zaraz odjechać.

Kowalski był niezwykle podniecony. Wrócił na miejsce przy koniu. Robił niewiadomie nieokreślone ruchy palcami.

— Niech to diabli porwą! — zaklął z cicha. Obejrzał się po kolegach. Odeszli od koni, zrezygnowali. Stali w grupce chowając wstydliwie kuby i pudła.

Major nie zwykł był łatwo rezygnować. Przypomniał sobie jak na czele szwadronu... — Pal diabli — zaklął raz jeszcze i... podszedł do brzucha wałacha.

Stare konisko, któremu ktoś zaczął niespodziewanie gmerać ręką po swędzącej i wilgotnej skórze, łatwo dostępnej w tym miejscu dla bąków, a leżącej poza zasięgiem ogona — przebudził się i majestatycznie odwrócił głowę w stronę przynależnego dobrodziejcy. Potem parsknął z zadowoleniem, a potem stało się coś, czego najmniej spodziewał się rozrabiany i podglądający strzelec i „ogrodnicy” śmiejący się w głos ze starego maniaka: gniady wałach spoważniał, skupił się i... podniósł ogon!

Major Kowalski triumfował, czuł się bohaterem. Nie ustawał w czynności laskotania gniadego, a równocześnie rzucał spod brzucha jakome spojrzenia na swoje pudło. Tutaj nie było na razie powodu do triumfu: pudło było wciąż puste!

Tymczasem grupa kolegów otaczających korie, po krótkim momencie ciszy i podziwu, ryczała teraz w nieuzasadnionej radości. Major widział wyraźnie jak rudziel walił nieprzytomnie łopatą w piasek i skrecał się w paroksyzmie śmiechu.

Kowalski odskoczył od brzucha, przypadł do ogona i... odjęło mu mowę. Zaczął się trząść, posiniał. Cały jego dorobek zniknął spokojnie w cze luszczy żółtej pomargarynowej puszki ucepiętej na drucie do długiej tyki, którą najspokojniej podrzymywał w powietrzu pod koniskim ogonem, wyrosły chyba z głębi piekieł, porucznik Kabza.

Odyskawszy jako tako władzę, major jednym susem przeskoczył dyszel i chwycił za tykę.

— Jak pan śmieje? —

Kabza tyki nie puszczał.

— Jak pan śmieje — ty chylstuku! —

Rozpoczęła się szamotanina. Tyka pękła. Majorowi dostał się koniec bez puszki. Rudziel znalazł się natychmiast po stronie bladego Kabzy.

— Tylko nie obrażać! Tylko nie obrażać nikogo! — krzyczał, zasłaniając porucznika przed rozjuszoną majorem.

Pusta lora wyjeżdżała z podwórza pocztowego. Na pobojowisku zostały dwie gestykulujące i rozkrzywane jenieckie grupy. Rudy — tubalnym

głosem udowadniał, że kto pierwszy, ten lepszy. Major miał wyraźnych sojuszników w kilku strzelcach i najodważniejszym spośród nich — doradcy:

— Ja — tłumaczył chłopak warszawski, powstrzymując śmiech — ja namówiłem pana majora na laskotanie gniadego i co koń zrobił, jest majorowe. Co prawda, to prawda!

— Nie mieszajcie się do tego, nie wasza rzecz! — ryczał rudy, potrząsając puszką i tyką.

— Dość! — piskliwie przerwał Kowalski, unosząc się na stopach. — Dość tej zabawy! Proszę natychmiast oddać moją własność, bo załatwimy sprawę inaczej! Oddaje pan, panie podporuczniku Kabza, moją własność czy nie?

Kabza miał dość zabawy. Zwrócił się do rudego...

— Alę ja nie oddaje — rozumiesz — cofa się rudy chowając puszkę za siebie.

Major podskoczył do przynależnego obroncy.

— Ostatni raz się pytam. Co pan tu ma do gadania? Natychmiast stąd odejść!

Rudy zmruczył oczy.

— Jak mi się będzie podobało, panie sztabow! To nie jest na wolności — cofa się rudy chowając puszkę za siebie.

Major podskoczył do przynależnego obroncy.

Kowalski zacisnął pięści.

— Jeszcze słowo, a...

W drzwiach poczty pojawił się hauptmann. Stał na najwyższym stopniu schodów. W rękach w tył założonych trzymał szpicrutę. Po kanciastej junkierskiej gębie błękał się regulaminowy uśmiech pobłażania, jaki pojawiał się zawsze na widok jeńców polskich.

Major Kowalski dojrzał w nim tyle Niemca, co kapitana.

— Melduję posłuszenie, że dzieje mi się tu krzywda — powiedział najbardziej łamaną niemiezczyzną, której nie wyprostowałby mozolne trudy nad „Langenscheidtem”.

Prusak spoważniał, stał się urzędowy. Zeszedł ze stopni i zbliżył się do grupy.

— Was ist den los?

Kowalski pokazał ręką na rudego, który dźwierzyl puszkę z nawozem: — Das ist meine! — tłumaczył: — Nie spuszczać oka z przeciwnika.

„Szkop” kiwnął palcem. Oficer podstawił mu puszkę niemal pod nos.

— Das ist meine — powtórzył major z najgłębszym przekonaniem.

Hauptmann zajął do puszki, odskoczył i przez moment wahał się na granicy zdziwienia, śmiechu, oburzenia. Spojrzał po obecnych, z których wielu nie kryło wesołości. Zatrzymał się na majorze Kowalskim.

— Wissen sie — skandował — was haben sie gemacht? Das ist sabotage!

— ryknął.

— Aber gnädige... — próbował major...

— Ruhe! — Zaślinił się i zakrzucił się wściekły szkop — Loos! — kopnął z pasją leżącą przed nim puszkę, aż nawóz rozsypany się szeroko po piasku.

Ogrodnicy wycofywali się szybko z placu boju. Ostatni ustępował major kawalerii Kowalski, któremu Hauptmann zabrał znaczek jeniecki.

Na drugi dzień rano przy porannym apelu odczytano we wszystkich batalionach rozkaz niemiecki, w którym major „Kowalski” został ukarany czternastodniowym aresztem. Po wyjściu na „wolność”, Kowalski posłał porucznikowi rezerwy, Kabzie, dwóch „sztywnych” panów, którzy dla ustalenia „

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

O SATYRZE

S a t u r a po łacinie to po prostu miska, gdzie owoc rozmaity pomieszany leży: pomarańcza, brzoskwinia, która sokiem tryska, lecz trafi się i daktyl twardy lub nieświeży. Stąd satyrę określił wiersz chłoseczący Lucyll i tak jak owoc w misie może być wszelaki, tak i wiersz satyryka — rumak albo kucyk, biegnący dla zwycięstwa lub dla głupiej klaki. Bo gdy zapragniesz pisać jak drugi Juwenal, nie wystarczy jedynie poetycka wena: satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka, w satyrze jak w zwierciadle zobaczysz człowieka, nie tylko tego, z czyją nieciotą się pora, lecz również i odbicie samego autora. Jest satyra, co wbija niezawodne ostrze w bastylę samowładztwa, co obłudę chłoseczce i wcześniej jeszcze głowy tyranom ucina, nim się do nich dobierze ludu gilotyna. I satyra nikczemna, jak piesek pokorna, merdająca ogonem i liżąc stopy, które w krwi się nurzają broczącej Europy, kiedy nad nią zawiśnie długa noc upiorna. Bo Hitler miał satyrę: brunatna ferajna kpiła z Manna, Picassa i drwila z Einsteina, a szczytem jej humoru był ów słup płomieni, co prawdę ksiąg palonych chciał w popiół zamienić, — zwiastun ognia, co wkrótce w swej piekielnej glorii ludzi żywcem pożerał w piecach krematoriów. Jest satyra wspaniała, dumna, niepodległa, która burząc buduje i przez to jest twórcza, i satyra nędznego półludka, pokurcza, w lizaniu tylko buta biegła i przebiegła. Ta pierwsza prawdę mówi, względów się wyrzeka i łącząc śmiech z goryczą podnosi człowieka, a druga dół mu kopie, a tyran z wdzięczności pozwala z swego stołu obgryzać jej kości.

KORESPONDENCJA

„O dobrej służbie i o służących“

Do Redaktora „Odrodzenia“

Kamerzysta „Odrodzenia“ (nr. 7 z dnia 13 lutego br.) wywołał w przełożonej z węgierskiego na język polski ksążce ks. bp. Tihamera Totha pt. „Miodzieniec“ dobrze wychowany — cenne rady dla katolickich młodzieńców o sposobie obchodzenia się ze służbą.

Uzupełniając wskazania współczesnego biskupa, pragnę podzielić się z czytelnikami „Odrodzenia“ ciekawszymi wypowiedziami o „czeladzi w gospodarstwie“ i o „zaleczeniach „dobrej służby“, jakie udało mi się znaleźć na łamach starych czasopism i kalendarzy „dla oświaty i zabawy ludu wjejskiego przeznaczonych“. Chodziło w nich o przekonanie dopiero co uwłaszczonych chłopków o wielkich dobrodziejstwach i korzyściach dalszej pracy na panów, o uzależnienie na g. unci społeczno-ekonomicznym „chaty“ od dworu, o tanie ręce do pracy na wielkich obszarach dworskich. Względnie w miejskich gospodarstwach domowych naszej dulszej burżuazji. Ale wysłuchaj „pisarzy“ sprzed lat stu.

I tak w poczytnym na te czasy lwowskim „Przyjacielu Ludu“ (nr 5 z 1848 r.) znajdujemy takie zalecenia:

„Kto nie ma własnego gruntu, albo rodzinę tak liczną, iż ten, jaki ma, wyżywić jej nie może, idzie służyć do dworu lub do miasta. Rozumniej czyni, kto się trzyma dworu, (podkreśl. moje) bo choć w mieście płaca wyższa, ale człowiek oddał się od krewnych i przyjaciół, nawyka powoli do próżniactwa i zbytku, który go zmusza coraz wyższą żądać zapłaty... Sługa myśląc ciągle o wyższej płacy nie przywiązuje się do Pana, bo czeka tylko sposobności dostać się tam, gdzie płaca więcej.

Przeciwnie dzieje się na wsi we dworze. Ludzki i dobry Pan jest ojcem dla czeladzi, kocha ich jak dzieci, zachęca do porządku i do pracy. Takim ojcowskim obchodzeniem się z sługami dawni i cnotliwi ojcowie nasi łagodili przykry los poddaństwa, a dzieciom swoim zostawiali nieocenione skarby w błogosławieństwie i przywiązaniu sług i włościan. Taki Pan z dumą stał w pośród licznej ludności włości swoich i był groźny nieprzyjaciółom swoim, bo na każde skinienie tysiące miał gotowych rąk do obrony i do pracy...

Komu więc, bracia moi, Bóg dał dobrego i rozumnego Pana czyli sąsiada, kochającego i szanującego go jak ojca. Służcie mu chętnie i wiernie, abyście mieli przyjacela, któryby mógł was ratować w potrzebie. Bo przyznajcie sami, jakby wam przykro było, gdybyście utracili przychylności waszego dawnego Pana. Dwór był zawsze i będzie przytulkiem biednych wieśniaków...

Aby zasłużyć na miłość i nie stracić „przychylności“ Pana (konieczne przez duże „p“), dobry sługa musi odpowiadać wielu warunkom i wykazywać określone zalety... Precyzuje je nasz „Przyjaciel Ludu“ (nr. 21 z 1848 r.).

„...Po posłuszeństwie pierwszym w służbie warunkiem jest zdatność. Człowiek słabowity nie powinien się godzić do usług wymagających zdrowia... Drugim warunkiem jest gorliwość. Kto gorliwy jest w służbie, ten ją nie zmienia i nie opuszcza, takiego sługę sami Panowie starają się zatrzymać dla wspólnego interesu. Trzecim warunkiem jest wierność. Zależy ona na tym, aby wszystkie zlecenia i poruczone sobie czynności bez ukrzywienia Pana w najmniejszej rzeczy wykonywać...

Wszystkie te trzy warunki są nader ważne do obowiązków dobrej służby, ale jeszcze całej jej dobroci nie stanowią. Takowa bowiem dopiero zależy od przychylności i miłości ku zwierzchności i Panom...

W tym miejscu proszą się również o zacytowanie niezwykle ciekawej uwagi o czeladzi, jakie udało mi się znaleźć na łamach „Powszechnego Kalendarza dla wszystkich stanów“ (Kraków, rok 1869) W zawiłych, na przykładach opartych dociekaniach o właściwościach zych i dobrych sług, natrafiłem na rozbrajające przestrogi dla dziewczyn służebnych, które w tym czasie coraz liczniej opuszczają szamocącą się w nędzy wieś galicyjską, by w obcym mieście szukać zarobku i szczęścia. Ale podobne złudzenia usiłuje zdusić w zarodku nasz „dobry doradca“ z kalendarza. Oto do ruszającej ze wsi w świat z nadzieją w duszy dziewczyny woła:

„...Pamiętaj, że w mieście nie na to obiera się stan służebny, żeby się wydać za małą, tylko żeby w uczelnej pracy znaleźć dla siebie utrzymanie... Znajdzenie męża zostaw woli Bożej, a ty myśl o tym, żebyś była dobrą służącą...

Służąc, nie gardź żadną robotą, rób chętnie i z pośpiechem, a czego nie umiesz, pytaj się i proś o radę... Nie strój się i nie fiokuj i nie elegantuj! Niech ludzie widzą zawsze, żeś biedną służącą, a niech postępowaniem twoim przekonają się, żeś skromna, uczciwa, pracowita, oszczędna i miłująca porządek...

W postępowaniu z mężczyzami bądź ostrożna, ale nie szorstka i nie brutalna, oczami ich nie ścigaj, ale i nie uciekaj wiecznie z nimi ku ziemi... Po ufalności zbytecznej nigdy nie dopuszczaj, choćby się zaklinał na Boga, że się będzie żenił...

Rano i wieczór znow pacierz kłęcząc i poleć się opiece Bożej. O ile możesz, bywaj w kościele, ale zrób wszystko co do ciebie należy. Pańskiego dobra strzeż jak oka w głowie, siedź w domu, pracuj, krzątaj się, nie zmyślaj, do wszystkiego przynaj się otwarcie, i kupując w mieście, wyższych cen nie podawaj...

Jak widzimy, krakowskie Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy (OO. Jezuitki), które rzuca na rynek dziełko, ks. biskupa Tihamera Totha, ma swoich prekursorów...

Władysław Blachut

KONKURS
NA PLAKAT
CHOPINOWSKI

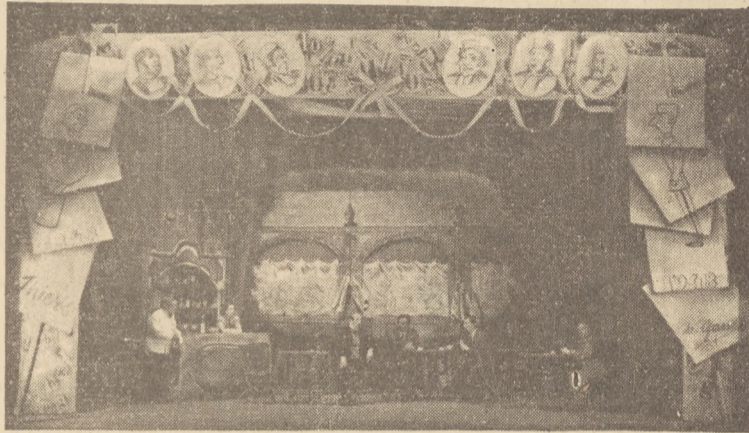
Jury konkursu na plakat Roku Chopinowskiego w Polsce przyznało pierwszą nagrodę Jerzemu Karolakowi, drugą zaś otrzymał Henryk Tomaszewski. Przyjemne rozwiązanie nieco konwencjonalnego tematu u Karolaka nadaje się niewątpliwie do masowego rozpowszechnienia, choć plastycznie ciekawsza jest praca Tomaszewskiego. W jego plakacie niestandardna forma skrzydła

fortepianu wprowadza atmosferę romantycznego niepokoju, powiększonego jeszcze przez mocny akcent nieproporcjonalnych czarno-białych klawiszy. Przeciwwagę stanowi w tym plakacie spokojna litera, rzecz u Tomaszewskiego raczej rzadko spotykana.

Oba nagrodzone plakaty reproduujemy na pierwszej stronie.

Len.

KRONIKA TEATRALNA

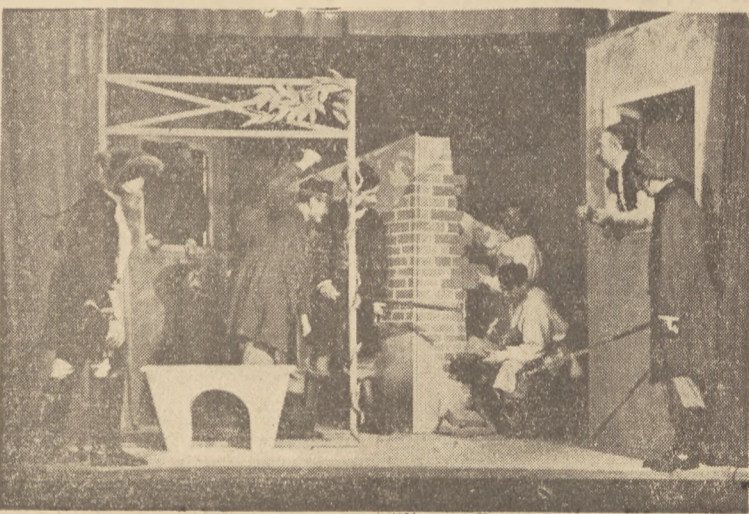


Wrocław. „Lew na placu“ Erenburga w reżyserii Karola Borowskiego



Poznań. „Przemysław II“ Brandstaettera (Janina Jabłonowska)

Warszawa. „Skalmierzanki“ Kamińskiego (Joachim Lamża)



Wiedeń. „Zemsta Fredry“ odegrana przez Związek Polaków w Austrii



Katowice. „Jak wam się podoba“ Szekspira w reżyserii Władysława Krasnowieckiego

CAMERA OBSCURA
CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia“ z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura“. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Comer obscura“ pod adresem: Redakcja „Odrodzenia“, Warszawa, Daszyńskiego 16 działo „Camera obscura“. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorem ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłek należy dołączyć miarę, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 2000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, orzeczony następnym tygodniu.

Nagrodę zł 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Zygmunt Milli, Kraków, ul. Weneja 11, za wycinki z „Odrodzenia“ i „Przeglądu Artystycznego“.

Głos w dyskusji

Z „ZEMSTY“ A. FREDRY

Do toczącej się obecnie ożywionej dyskusji na temat zagadnień współczesnej plastyki (patrz „Odrodzenie“ nr 5 (218) pragniemy załączyć dowód rzeczowy w postaci dwóch reprodukcji obrazu Tadeusza Kantora. Pierwsza reprodukcja — pozioma — znalazła się w „Odrodzeniu“, druga zaś — pionowa w „Przeglądzie Artystycznym“:

Rejent Milczek: — Czupkę sprzedam, pas zastawię, a będę grał dalej, bo w 55 Loterii są w każdej klasie 4 wygrane po milionie, a główna wygrana wynosi okragło 3 miliony, po raz pierwszy — bez żadnych potrąceń K 631-1

Zasada zgrywania się do końca jest mało propagandowa.

Lipniacki czy mętniacki?

„Gazeta Ludowa“ zamieszcza fragment prozy Teodora Goździkiewicza, będącej przykładem swoistego stylu i swoistych poglądów na przyczyny niedoli chłopskiej w Polsce przedwójniowej:

Naprzód próbka stylu:

Jest godzina piąta rano.

Ostre słońce syczy pieczę ziemię czerwonymi dzidami światła.

Promienny krąg opiera się dolnym brzegiem o zarosłą ziemię. Wilgoć mroczy wszystko: trawy i liście, a nawet piasek na drodze jest lekko zmoczony. Osetkowa budzi Jasia do krów — czas mu wstać, inni już dawno powypędzali. Chłopak rusza powiekami mocuje się z sennością, rad by oczy rozzerzeć — nie może. Sen przysypiał go bezładem do posłania i — ani rusz. Gospodyni pociąga go za rękę, woła, potrząsa za głowę. Wszystko na nic. Mruczy Jasio coś, szamocze się wciśka głowę w słomę, przekręca na bok. Chce spać — spać jeszcze za wszelką cenę.

Jesion nocuje w stodołę na słomie na wół pustym sąsiaku.

Gospodyni dała mu dwie derki oil na krywanina siedzeń na wozie, nim Jasio się otula z wieczora po kolacji i spi.

Poduszki nie ma, bo i tak by z niego nie skorzystał. Wieczorem Jasio jest tak senny, że rzuca się po zdzięk kurci byle jak i już spi. Nim ciało ułoży jako tako, już oddycha głębokio, mocno — wkroczył w sen dziecięcy.

A teraz próbka poglądów:

— Proszę pana — mówi dziecko wstając i podnosząc dwa palce — a to Jasio Spychałow dzisiaj do szkoły nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Bo chory.

— Co mu jest?

— A to proszę pana, jak pasł krowy Osetka, to je wpuścił w pańskie działy za rzeką w koniczynę i je zajeli do dworu... I zbil go polowiy i Spychala, bo tam niedaleko łapał ryby i Osetek.

Znowu inny nurt dla jego myśli. Te wyrobnicze dzieci, co się to nagadał, naprzekonywał: słuchajcie, nie zabieracie dzieci ze szkoły na służbę, dajcie im skończyć szkołę, a potem skierujcie je do jakiego rzemiosła... Nie — droch o ścianę. Dla bałagatelnej różnicy w zasłudze godzono dzieci „bez szkoły“ i chłopak czy dziewczynka wiały od nauki po Wielkanocy, żeby wrócić dopiero na Wszystkich Świętych.

Albo ten Spychala. Ile razy on sam, Krawczyk, namawiał go, przysadywał, że dla niego najlepiej będzie, jeśli zaopiekuje się dziećmi bliżej. To było przy starszym chłopcu, to było przy dziewczynce... Gdzie tam! Wszystkie rady słylnyły jak z gęsi woda, dzieci poszły na służbę, a tatulo na ryby nad rzekę...

Teodor Goździkiewicz uzasadnia niedolę dzieci wiejskich, zmuszanych do pracy wyrobniczej od najmłodszych lat — ciemnotą i złą wolą rodziców w stosunku do własnych dzieci. Biedny chłop Spychala każe swojemu Jasiowi pracować, by on, ojciec, mógł dzięki temu oddawać się leniwej rozrywce łowienia ryb!

„Drukujemy — wyjaśnia redakcja — obrazek z życia wsi z powieści „Lipniacki świat“ Teodora Goździkiewicza, która ukaże się wkrótce wydana nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza“. Drukowany przez nas wyjątek oddaje dolę dzieci biedaków oddanych na służbę do bogatych gospodarzy i chociaż opisuje on czasy, kiedy jeszcze były dwory, to jednak doł wastyżków-służących u bogaczy wiejskich nie uległa jeszcze i dzisiaj radykalnej zmianie.

Wiele spraw nie uległo jeszcze zmianie na wsi. Ale pewne jednak zmiany na lepsze są i w charakterze dalszego ulepszenia proponujemy zmianę tytułu powieści Goździkiewicza „Lipniacki świat“ na „Mętniacki świat“.



Zupełnie nowych i nieoczekiwanych wrażeń artystycznych doznajemy, patrząc na obraz Kantora w pozostałych dwóch niewykorzystanych dotąd przez prasę sytuacjach:



Dwa, wyżej reprodukowane warianty obrazu Kantora proponujemy nazwać, podobnie jak pierwsze dwa „Kompozycja“ i „Ponad ruchy“ — Ex-ponycja“ i „Ponad siły“!

Unikat

„Dziennik Polski“ donosi:

WYSTAWA PAMIĄTEK PO
A. MICKIEWICZU

PRAGA, 9. lutego (P.). W. Galerii im. Jyrsa w Pradze otwarta została wystawa cennych pamiątek, związanych z życiem i twórczością Adama Mickiewicza. Wśród wystawionych eksponatów, należących do zbioru Jerzego Karaska ze Lvovic, zwracają uwagę graficzne podobizny poety, wykonane przez Oleksińskiego i Kriebuberta, pierwsze paryskie wydanie „Pana Tadeusza“ z 1834 roku, lipskie wydanie (1853) „Ballad i Romanów“ oraz prawdziwy unikat, wydanie książkowe „Sonetów Krymskich“ z roku 1823.

Prawdzywo to unikat wydanie książkowe z 1823 roku sonetów, napisanych w roku 1825. „Dziennik Polski“ winien unikać takich unikatów...

Kultura i reklama

W „Życiu Warszawy“ znajdujemy następującą reklamę „Loterii“:

